



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Julian Wieciech

## Moim szczęściem jest to, że przeżyłem

W roku 1939 ukończyłem 5. klasę szkoły powszechnej. Nauka szła mi bardzo dobrze, marzyłem jednak, że jak dorosnę, zostanę – jak ojciec – furmanem. Będę miał siwe konie – koniecznie jak ojciec siwe, nie inne – i będę furmanił. Daleko, do Bochni, Brzeska, Limanowej, a może nawet do Krakowa, Dębicy czy Starego Miasta (tak nazywaliśmy Stary Sącz).

Jako najmłodszy w rodzinie byłem pupilkiem ojca. Kochał mnie chyba najmocniej z całej szóstki swoich dzieci, ja również widziałem w nim cały świat. Był dla mnie wzorem. Próbowałem naśladować jego gesty, ruchy i słowa. Gdy po paru dniach nieobecności wracał do domu, nawet wtedy, gdy nie byłem już takim małym dzieckiem, zawsze witał mnie czule, brał na kolana i serdecznie całował. Ojciec nie uznawał bicia dzieci, mimo to byliśmy Mu posłuszni i bardzo Go szanowaliśmy. Gdy tylko spojrział, wiedzieliśmy, co mamy robić. Mnie, chociaż byłem dzieckiem trudnym i upartym, tylko raz w życiu dał klapsa. Było to wtedy, kiedy najpierw wywróciłem choinkę, a następnie ze złości wytarzałem się w nowym marynarskim ubranku w kałuży. Gdy coś przeskrobaliśmy i matka chciała nas uderzyć, zawsze mawiał: Nie bij, bo jeszcze nie raz będzie ich w życiu biła bieda.

Od małego, mimo sprzeciwów matki, woził mnie ze sobą wszędzie. Jeździłem tam, gdzie odbywały się jarmarki, gdzie ojciec sam handlował albo furmanił innym kupcom. W długie jesienne i zimowe wieczory do późnej nocy przy świetle naftowej lampy czytaliśmy książki. Ze względu na oszczędność nafty matka nie pozwalała tak długo świecić lampy i po bezskutecznych wezwaniach: Gasić lampę!, bezpardonowo, jednym dmuchnięciem, przerywała nasze czytanie w najciekawszym fragmencie książki. Czasem tylko słyszeliśmy nieśmiało słowa ojca: Daj spokój, niech czytają.

Moją ulubioną książką był „Janko w Legionach”. Na okładce, leżącego małego chłopca w polskim mundurze i rogatywce przebijał bagnetem bolszewicki żołdak. Zazdrościłem temu chłopcu pięknej i bohaterskiej śmierci za ojczyznę. Moim marzeniem było walczyć i zginąć, jak on. Nie przypuszczałem wtedy, że można cierpieć i umrzeć za ojczyznę bez broni i munduru, w okropnych męczarniach, tak, jak później cierpieć ja, jak zginęły tysiące patriotów.

Wybuchła wojna. Dla mnie pierwszym ciosem była strata siwków, które na kilka dni przed początkiem wojny zostały zarekwirowane dla wojska. Pamiętam, jak zmęczony i kompletnie załamany, z uprzężą na ramionach i świstkiem papieru w kieszeni, ojciec wrócił z komisji w Żegocinie. Zarekwirowano konie i wóz. We wsi nie zabrano innych koni, tylko nasze i dworskie. Płakałem po siwkach kilka dni. Nie mogłem spać, jeść i wychodziłem z domu co parę chwil, rozglądając się po zagrodzie, czy któryś nie uciekł i nie wrócił do nas.

W pierwszych dniach wojny nic nie wiedzieliśmy, co się dzieje na froncie. Brat Tadek został powołany do OPL, dostał koc i latarkę, aby co noc wypatrywać, czy nie lecą wrogie samoloty. Wszyscy byli pewni, że wojna się szybko skończy i że ją wygramy. Aż tu nagle 6 września usłyszeliśmy od zachodu strzelaninę, zobaczyliśmy tumany kurzu na drodze i niemieckie pancerne kolumny. Wszędzie wojsko w obcych mundurach, szwargocące jak Żydzi. Szosą jechały czołgi i wozy pancerne. Na polach i łąkach, nawet między zagrodami, pełno było żołnierzy. Byliśmy bardzo przygnębieni. – Jak to jest możliwe, gdzie jest nasze wojsko? – zadawaliśmy sobie pytanie. Gdzie czołgi, samoloty?

Żal dławiał krtań. Nikt nic nie mówił, każdy czuł to samo. Jednak nazajutrz przeżyliśmy chwile radości. Spoza gór otaczających wioskę nadleciał polski samolot. Niemcy ze wszystkich działek przeciwlotniczych utworzyli huraganowy ogień. Ponieważ leciał bardzo nisko, strzelali nawet z karabinów, lecz bezskutecznie. Samolot zatoczył kilka kręgów i odleciał na wschód. Weszliśmy na stos słomy i radośnie wymachiwaliśmy rękami. Samolot już zniknął za górami, a my długo jeszcze podskakiwaliśmy z radości. Rozwścieczeni niemieccy żołnierze paskami przepędzali nas do domów.

W 1941 roku brat Józek przy pomocy ojca otworzył własny sklep w domu siostry Władki. Ze sklepem tym związały się moje losy. Ponieważ brat nie mógł sam dokonywać zaopatrzenia i jednocześnie sprzedawać, uzgodnił z rodzicami i zabrał mnie do siebie na pomocnika. Byłem z tego bardzo dumny. Nie było mnie prawie widać zza lady, więc złośliwi klienci udając, że nikogo nie widzą, wołali głośno od drzwi: a jest tam kto? Wtedy stawałem na opakowaniu po mydle i udając obrażonego sprzedawałem 2 deka farby, pół kilo soli lub 20 deka smarowidła do wozów.

Sklep początkowo prosperował bardzo dobrze. Za ojcowskie i pożyczone pieniądze został najlepiej zaopatrzony w całej okolicy. Szczególnie zależało na tym ojcu, który mawiał zawsze: albo nie rób nic, albo to, co robisz, rób solidnie.

Szyld z nazwiskiem zobowiązywał. Poza tym nie oszukiwaliśmy na wadze, cenach i jakości, więc dobra opinia rozeszła się szybko po całej okolicy i przyciągnęła klientów. Zasadniczym jednak źródłem sukcesu był fakt, że w tym czasie okupant rozpoczął zbrodniczą akcję likwidacji Żydów. Wszystkie okoliczne żydowskie sklepy zostały zamknięte.

Niestety, okres rozwoju sklepu trwał bardzo krótko. Poważne zaangażowanie się brata w prace konspiracyjne wymagało dużo czasu i zmuszało do częstego zamykania sklepu. Pociągało to za sobą zmniejszenie obrotów i zniechęcało interesantów. Sklep powoli zaczął upadać. Bolało to ogromnie coraz bardziej chorego ojca, który nie mógł się z tym pogodzić.

Już w pierwszym okresie pobytu w sklepie zauważyłem dyskretne odwiedziny i spotkania nieznanymi mi ludźmi. Ich wygląd, a zwłaszcza zachowanie, nie wskazywały na handlowe zainteresowania. Zdarzało się coraz częściej, że zupełnie bez powodu brat wysyłał mnie na pewien czas do rodziców. Bardzo mnie to dziwiło i denerwowało, a później przerodziło się w podejrzenia. Zaczęłem nieśmiało zagadywać brata. Brat powiedział, że jak będę taki dociekliwy, to odeśle mnie do rodziców na zawsze, ale sam dobrze wiedział, że dalej tak być nie może. Pewnego dnia, w czasie nieobecności brata, przyjechał na rowerze jeden ze stałych uczestników potajemnych spotkań, Jan Szymański, nauczyciel w szkole rolniczej. Kazał mi zamknąć sklep i przeprowadził ze mną długą rozmowę. Mówił wzniosie o utraconej niepodległości, o miłości ojczyzny, o konieczności walki z okupantem. Długo i zbytecznie uświadamiał mnie o tym, o czym wiedziałem, i co czułem już od dawna. Jeszcze w szkole podstawowej, czytając wiele książek, marzyłem o tym, by walczyć, a nawet zginąć za ojczyznę. Kresowy, bo taki miał pseudonim Jan Szymański, długo mówił o zachowaniu tajemnicy. Wreszcie wyjął z kieszeni krzyż i mały świstek papieru i zaczął czytać. Ze łzami w oczach, drżąc cały ze wzruszenia, powtarzałem za nim słowa przysięgi:

– W obliczu Boga wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny, Królowej Korony Polskiej, kładę rękę na ten Krzyż, znak męki Zbawiciela i przysięgam być wiernym ojczyźnie mej Rzeczypospolitej Polskiej, stać na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary mego życia. Prezydentowi Rzeczypospolitej i rozkazom Naczelnego Wodza oraz wyznaczonego przezeń dowódcy Armii Krajowej będę bezwzględnie posłuszny, a tajemnicy wojskowej niezłomnie dochowam, cokolwiek by mnie spotkało.

Gdy skończyłem, byłem tak wyczerpany, jak po ciężkiej pracy. Serce mi biło mocno, a nogi miałem jak z waty. Po twarzy spływały krople potu, a może łzy.

– Przyjmuję Cię w szeregi Armii Polskiej, walczącej z wrogiem w konspiracji o wyzwolenie ojczyzny. Twym obowiązkiem będzie walczyć z bronią w ręku. Zwycięstwo będzie twoją nagrodą, zdrada karana jest śmiercią.

Po odebraniu przysięgi Kresowy powiedział mi, że odtąd mam pseudonim „Skrzat”, po czym jak szybko się zjawił, tak też odjechał. Nareszcie, nareszcie spełniły się moje marzenia. Ale jak tu walczyć, gdzie, kiedy i czym? Nie otrzymałem żadnych poleceń ani wskazówek. Po powrocie brat udawał, że nie wie, co się zdarzyło w czasie jego nieobecności. Zmieniło się tylko tyle, że gdy odbywały się różne konspiracyjne spotkania, wcześniej o nich wiedziałem i ubezpieczałem je obserwując okolicę, a szczególnie drogę, przez okienko na strychu. Aż przyszło pierwsze zadanie. Otrzymałem polecenie wyjazdu

po pocztę do Nowego Wiśnicza. Z duszą na ramieniu, wyposażony w zaświadczenie o prowadzeniu sklepu, ruszyłem rowerem w drogę. Trasa była dosyć krótka i dobrze mi znana, ponieważ już wcześniej wiele razy nią jeździłem po towar, mimo to dłużyła mi się bardzo. Każdy napotkany człowiek wydawał mi się podejrzany, a za każdym wzniesieniem lub zakrętem spodziewałem się Niemców. Jednak nic się nie przydarzyło i szczęśliwie dotarłem do celu.

Skrzynka kontaktowa mieściła się na poddaszu domu stojącego obok ratusza, u krawca o pseudonimie Szczapa. Tuż przed wejściem na schody spotkałem dwóch granatowych policjantów i niemieckiego żandarma. Bardzo się przestraszyłem.

– A może oni czekają na mnie? – pomyślałem. Z bijącym sercem, po skrzypiących stopniach, wchodziłem powoli na górę. Zapukałem nieśmiało do drzwi i, nie czekając na zaproszenie, ostrożnie wszedłem do pomieszczenia. Ku mojemu zdziwieniu nie było tam żadnego warsztatu krawieckiego. Przy stole siedziało kilku mężczyzn. Znow się przestraszyłem. – To pewnie czekają na mnie. Na jedno słowo gospodarza wyszli z pokoju. Wtedy cicho wybełkotałem słowa „Dzień dobry” i mocno zdeprymowany, jeszcze ciszej, jakby sam do siebie, wypowiedziałem umówione, lecz przekręcone hasło. Wprowadziłem tym w zakłopotanie zainteresowanego. Szybko jednak poprawiłem błąd i już poprawnie powiedziałem:

– Przywiozłem podszewkę na ubranie.

– Nie będę szył – odpowiedział Szczapa. – Chodź ze mną, to ci zwrócę materiał.

Teraz już wszystko było w porządku. W sąsiednim pomieszczeniu oddałem przewiezioną bibułę, a odebrałem przesyłkę przeznaczoną dla naszej placówki. W ten sposób poznałem mojego kontaktowego. Od tej pory jeździłem często do niego wożąc materiały konspiracyjne. Po odebraniu przesyłki robiłem zawsze zakupy do sklepu i z torbą wypchaną drożdżami, farbą do bielenia lub innymi drobiazgami wracałem do Lipnicy. Nie wiem czemu, ale w drodze powrotnej już się nie bałem. Później jeździłem na nowe punkty kontaktowe do Bochni. Tam przy rynku był sklep, którego właściciel nazywał się chyba Białek lub Białas, od niego razem z towarem do sklepu odbierałem tajną prasę, rozkazy z pułku i podręczniki wojskowe. Mój młody wiek, drobna budowa i bardzo duży rower, na którym jeździłem, nie budziły podejrzeń konfidentów, granatowych policjantów ani Niemców. Najczęściej mój widok na rowerze wywoływał salwy śmiechu. Miałem jednak kilka bardzo nieprzyjemnych i niebezpiecznych, chociaż szczęśliwie zakończonych, przygód. Gdy raz późnym wieczorem wracałem z Bochni, nagle zostałem zatrzymany na rynku w Wiśniczu przez dwóch granatowych policjantów (w tym groźnego Szemendę) i niemieckiego żandarma. Niemiec wykrzykiwał coś bardzo głośno i pokazywał na mnie, a raczej na mój rower. Serce zamarło mi ze strachu. Przecież w torbie na ramie roweru, między towarem do sklepu, przewoziłem „Biuletyn Informacyjny” i „Sygnały” – tajne gazetki. Podprowadzono mnie pod sklep żelazny, gdzie na mój rower załadowano ciężką paczkę i udaliśmy się na posterunek. Kazali mi rower zostawić na korytarzu, a mnie zamknęli w celi aresztanckiej z zakratowanymi oknami. Siedziałem tam w napięciu, nie widząc, co się dzieje z moją torbą i rowerem. Pełen złych przeczuciu snułem różne domysły. Pewnie cały bagaż został dokładnie przeszukany i lada chwila przyjdą po mnie – myślałem. Nie mogłem sobie darować, że nie próbowałem uciekać, gdy mnie zatrzymywali. Jeszcze, jak na złość, wbrew wszystkim zakazom, miałem przy sobie rewolwer „szóstkę”, ukrytą na gumce w rękawie z trzema nabojami w magazynku. Zastanawiałem się, czy starczą mi te trzy naboje na ewentualne zabicie tego, który po mnie przyjdzie. Obmyślałem każdy szczegół, jak się mam zachować oraz jak i gdzie uciekać. A może uda mi się zastrzelić samego komendanta Szemendę? – myślałem.

Noc dłużyła się bardzo. Każdy ruch na korytarzu budził moje obawy, że już wszystko wiedzą i idą po mnie. Na szczęście, zmęczony fizycznie i psychicznie, tuż nad ranem mocno zasnąłem. Zbudziło mnie szarpnięcie za ramię i słowa: won, ty smarkaczu, a niech ci ojciec sprawi mocne lanie, żeś nie wrócił na noc i więcej nie jeździł rowerem bez świateł. Zaskoczony takim obrotem sprawy, nawet nie pomyślałem o swoich planach uwolnienia. Na miękkich nogach poszedłem do roweru. Stał oparty o ścianę z torbą towaru i tajnej pracy tak, jak go wieczorem postawiłem. Niczego nie sprawdzając, wskoczyłem na rower i najszybciej, jak tylko mogłem, pojechałem byle dalej. Mimo że wszystko było niby w porządku, podejrzewałem, że może być jakiś podstęp. Upewniwszy się, że nikt za mną nie jedzie, zatrzymałem się dopiero w lesie na Bukowcu i sprawdziłem, czy wszystko jest w torbie. Między towarem, tak jak je ukryłem, leżały tajne gazetki.

Do dzisiaj nie chce mi się wierzyć, żeby żaden z lasych na łatwy łup granatowych policjantów nie grzebał w mojej torbie. Może nawet znalazł „Biuletyn Informacyjny” i nie wiedział, że to jest tajna prasa albo też należał do tajnej lokalnej organizacji. Moja nieobecność w domu i sklepie nie stanowiła dla nikogo zaskoczenia, ponieważ raz tu, raz tam zostawałem na noc. W obawie, żeby mi nie odebrano funkcji łącznika, nie przyznałem się nikomu do tego zdarzenia.

Miałem jeszcze jeden wypadek, który omal nie zakończył się wpadką. Jeden jedyny raz wysłano mnie do Brzeska. Chodziło o pilne przekazanie jakiejś informacji (podobno chodziło o mające się odbyć aresztowania). Po wykonaniu zadania zupełnie czysty wracałem do domu. Jak już wspominałem, ze względu na mój wiek i wygląd podczas różnych kontroli, nigdy nie byłem zatrzymywany. Jednak tym

razem, mimo że nie miałem nic niebezpiecznego, byłem wyjątkowo niespokojny. Przejeżdżający szosą chłop powiedział mi, że tam dalej stoi Gestapo, lecz już w tej samej chwili zobaczyłem samochód i blokujących drogę gestapowców. Na ucieczkę nie było szans, przecież oni mieli samochód, a ja tylko rower. Nie wyglądało to na polowanie na szpek, jajka czy masło, lecz na kogoś. Pewnie na mnie – pomyślałem. Postawiłem wszystko na jedną kartę. Dodałem gazu i jechałem prosto na nich. Gdy byłem już bardzo blisko, usłyszałem głośnie „halt”. Udając, że chcę się zatrzymać, podniosłem się na siedzeniu i zdjąłem nogę z pedału roweru. Niemiec opuścił broń wycelowaną we mnie. W tym momencie znalazłem się w miejscu, gdzie szosa zbliżała się do rzeki Uszwicy i do oddalonych gospodarstw prowadziła przez nią polna droga. Rzeczka była nieduża i płynęła głębokim korytem, zarośniętym gęsto wiklinami oraz olchami. Idealne miejsce do ucieczki. Błyskawicznie nogę postawiłem na pedale, mocno nacisnąłem i tuż obok zaskoczonych Niemców wjechałem na dróżkę i w koryto rzeczki. Usłyszałem tylko głośnie „halt, halt”, kilka przekleństw i strzałów. Ale gęste zarośla zasłaniały mnie przed wzrokiem prześladowców i strzałami. Porzuciłem rower i uciekałem, ile sił w nogach płytkim nurtem rzeki, byle dalej. Niemcy nie kwapili się do wejścia w koryto zarośniętej rzeki. Może uważali, że nie warto gonić za tak małym chłopcem i narażać się na niebezpieczeństwo. Ukryty, z dala widziałem, jak odjeżdżali. Żał mi było roweru, ostrożnie podszedłem i zabrałem go, lecz nie jeździłem na nim już nigdy.

W zimie 1943/1944 roku zostałem przyjęty na kurs podoficerski, a następnie kurs podchorążych. Kierownikiem kursu był brat Józef, ps. „Tamarow”, zastępcą Jan Szymański, ps. „Kresowy”, a wykładowcami Leon Szczerkowski, ps. „Lew” i Zbigniew Wyrzykowski, ps. „Maryśka”. Szkolenia i ćwiczenia odbywały się nocą w okolicznych lasach. Zakończenie kursu podchorążych miało bardzo uroczysty przebieg. Było dużo gości, między innymi dowódca 12 pułku piechoty AK major Julian Więcek, pseudonim „Topola”. Nominacje wręczał najwyższy stopniem gen. Ignacy Ledóchowski, odprawiona została msza polowa.

Według nieoficjalnej informacji uzyskałem jedną z czołowych lokat. Było to moim wielkim sukcesem. Po ukończeniu kursu podchorążych zostałem mianowany podoficerem obserwacyjnym. Funkcję łącznika brata, dowódcy batalionu, pełniłem nadal. Sprzedawanie w sklepie, pomoc rodzicom w pilniejszych robotach polowych, udział w nocnych ćwiczeniach – to jeszcze nie wszystko, co robiłem w tym czasie. Uczestniczyłem jeszcze w tajnym nauczaniu. Z zeszytem lub książką pod pachą, potajemnie zbieraliśmy się w różnych miejscach, nie wyłączając dworku hrabiego czy plebanii. Pod kierownictwem Szymona Kędryny przerabialiśmy zakres dawnego gimnazjum i liceum. To również była walka z okupantem, walka niebezpieczna, czasem nawet niebezpieczniejsza od tej z bronią w ręku. Przylapany na niej uczeń czy wykładowca nie mógł się bronić i wędrował do obozu koncentracyjnego. Po czterech czy pięciu tworzyliśmy odpowiednie komplety, w dzień słuchaliśmy raz tu, raz tam wykładowców, a nocą wkuwali depugena Salominae. Skąd we mnie było tyle energii i sił? W stałym napięciu i zagrożeniu, niewyspany, zziębnięty, czasem nawet i głodny, z dzieciennym zaangażowaniem, bez narzekania, wykonywałem swoje obowiązki.

Największą akcją, w jakiej brałem udział, było uwolnienie więźniów z ciężkiego więzienia w Nowym Wiśniczu 26 lipca 1944 roku. To dla mnie ogromne przeżycie. 17 lat, noc, świadomość powagi chwili i strach, strach nie przed wrogiem, lecz przed tym, żeby czegoś nie zawalić, nie skompromitować świeżo upieczonego podchorążego. Pod pozorem ćwiczeń zarządzono zbiórkę w lesie na Bukowcu. Ukrywając niesioną broń, polnymi drogami i ścieżkami, śpieszyliśmy na wyznaczone miejsce. Zebrało się tam nas około trzydziestu, w tym wszyscy uczestnicy kursu podchorążych. Różnie ubrani, słabo uzbrojeni, zdecydowani na wszystko, staliśmy na małej polanie i z uwagą słuchali rozkazu. Dopiero wtedy dowiedzieliśmy się, że to nie będą ćwiczenia, lecz poważna akcja. Każdy z nas otrzymał ściśle określone zadanie. Podczas podejścia pod więzienie szedłem w czołowym ubezpieczeniu. W czasie akcji miałem zgodnie z moją stałą funkcją być łącznikiem dowódcy akcji. Zadanie to miał także pełnić podchorąży Stefan Radzięta, ps. „Wicher”. Jakże wielkie było nasze zdziwienie i rozczarowanie, gdy na miejscu dowiedzieliśmy się, że obaj zostajemy na zewnątrz więzienia w grupie ubezpieczającej „Lwa” pod dowództwem Antoniego Kociołka, pseudonim „Krypeć”. Po około 20 minutach od rozpoczęcia akcji otrzymaliśmy rozkaz, że mamy pobiec do dowódcy i zameldować, że od strony miasteczka i stacjonującej w pobliżu jednostki wojskowej panuje cisza. Gdy biegliśmy przez plac więzienny, nagle ktoś z drugiego rzutu zawołał głośno:

– „Skrzat” do mnie. „Wicher” do dowódcy.

Pobiegłem w tym kierunku i zobaczyłem, jak w elektrowni jeden z naszych podchorążaków trzyma pod lufą automatu niemieckiego wartownika. Powiedział: Odbierz mu broń.

Gdy wykonałem polecenie, kazał mi go dobrze pilnować, a sam pobiegł dalej. Zostałem sam z wielkim dryblasem. Niemiec ze zdziwieniem i trwogą w oczach, drżąc cały, patrzył na wymierzoną w siebie lufę rewolweru. Był to bębenkowiec 12 mm, który z trudem udawało mi się utrzymać we właściwej pozycji. Miałem w nim tylko dwa naboje. Powiem szczerze, że ja się również bałem i nie pozwalałem nawet na najmniejszy ruch. Krzycząc głośno, nadrabiałem groźną miną. Pilnowałem go do końca akcji.

O przebiegu całej akcji, która odbyła się zgodnie z planem, szybko i sprawnie dowiedziałem się od brata po powrocie. Działając przez zaskoczenie, udało się grupie szturmowej bez walki wtargnąć na dziedziniec i do pomieszczeń wartowników i Niemców. Poddawali się oni natychmiast i żebrali o litość, jedynie komendant próbował się bronić, ale bezskutecznie. Błyskawicznie opanowano cały teren więzienia. Z cel wypuszczono ponad stu dwudziestu więźniów politycznych. Pozostawiono w celach różnych złodziejasków i bandytów, gdyż jeszcze przed akcją, dzięki informacjom będących w terenowej organizacji wartowników, mieliśmy dokładne rozeznanie znajdujących się w celach więźniów. Ze zbrojowni zabrano dużo broni i amunicji. Zabezpieczając się przed zbyt wczesnym alarmem i chroniąc Niemców przed samosądem, zamknięto ich w małym, ciasnym pomieszczeniu. Rozkaz brzmiał jednoznacznie: nie wolno dopuścić do samosądów i znęcać się nad jeńcami. Podobno jednak któryś z oswobodzonych więźniów gdzieś po ciemku coś komuś „oddął”.

Wszyscy wyzwoleni więźniowie chcieli pójść z nami, zabraliśmy jednak tylko tych, którzy pochodzili z terenów zajętych już przez Sowietów lub przyłączonych do III Rzeszy i nie mogli tam wracać. Z trudem nieśliśmy zdobyczną broń. Innych rzeczy nie wolno nam było zabierać. A szkoda, bo buty i odzież mogłaby się przydać słabo ubranym więźniom. Żal nam było pięknego akordeonu, który zabrano przez jednego z więźniów, a zauważony przez dowódcę został zniszczony na naszych oczach. Powrót odbywał się szybkim, ubezpieczonym marszem. Kosztowało to nas wiele wysiłku, bo niezależnie od niesionej broni własnej i zdobyczej, trzeba jeszcze było pomagać osłabionym więźniom. Tym razem, razem z dowódcą szedłem w tylnym ubezpieczeniu. Kompletnie wyczerpany dotarłem do miejsca rozwiązania akcji i do sklepu. Brat zajął się rozlokowaniem więźniów i ukryciem broni. Ledwie zdążyłem się położyć i zasnąć, a już mocne pukanie do drzwi sklepu zerwało mnie ze snu. To jakaś kobiecina przyszła po kilo soli i zapalki. Trudno, sklep jest po to żeby sprzedawać, musiałem wstać i otworzyć.

Babina przyniosła rewelacyjne wiadomości i to z pierwszej ręki. Otóż mówiła, że sama na własne oczy widziała jak nad ranem, pod lasem, szedł duży oddział partyzancki.

– Sama widziałam, sama widziałam – powtarzała kilkakrotnie. – Śli i śli, mieli konie i wozy, chyba nawet harmaty. A było ich chyba ze stu i więcej – mówiła szeptem, bardzo prędko, jakby w obawie, że by ktoś jej nie uprzedził.

Udając zdziwienie i zainteresowanie, pytałem, kiedy to było, gdzie poszli i kto jeszcze to widział.

– Ja sama, ja sama, na własne oczy – powtarzała kobieta. Z trudem powstrzymywałem się od śmiechu. Przecież przed godziną przechodziłem tą drogą, razem z zaledwie pięcioma kolegami. Nieśliśmy ze sobą dużo broni, zwłaszcza długie karabiny Manlichery mogły robić wrażenie, ale o koniach, wozach i „harmatach” nie było mowy.

Jak teraz słyszę, ilu to jest kombatantów – nie ubliżając tym prawdziwym – to wydaje mi się, że dokumenty o ich działalności pochodzą z takich właśnie źródeł.

Ciężko zapłaciliśmy za tę akcję. 29 października 1944 roku Gestapo przy pomocy wojska i SS Galizien spacyfikowało trzy Lipnice, to jest wsie, skąd pochodzili uczestnicy tej akcji. Zastrzelono dwóch żołnierzy AK, aresztowano i wywieziono do obozów koncentracyjnych dziewięciu, w tym siedmiu uczestników akcji.

Pamiętam jeszcze nieudany odbiór zrzutu broni jesienią 1943 roku. Otrzymaliśmy ze zrzutu radio na baterie. Mieściło się ono w specjalnie przygotowanym plecaku. W ukryciu słuchaliśmy wiadomości z Londynu. Wtedy byliśmy już dobrze poinformowani, co dzieje się na wszystkich frontach. Mówiło się coraz częściej, że mamy także odebrać zrzut. Sporządzono jakieś plany, rysunki i szczegółowe mapy, które odesłano do Obwodu Wieloryb. Po pewnym czasie otrzymaliśmy wiadomość, że sprawa jest aktualna i należy się odpowiednio przygotować. Przygotowaliśmy rowery wyposażone w dynamy. Na polanę za Duchową Górą naznosiliśmy dużo suchego drewna i starannie je ukryliśmy. Opracowano dokładny plan zawiadomień, miejsca zbiórki i ubezpieczenia. Zrzut miał się odbyć w trzy godziny po otrzymaniu wiadomości. Samoloty miały nadlecieć z południowego kierunku, z terenu Włoch. Sygnałem rozpoznawczym z ich strony miało być wystrzelenie siedmiogwiezdnej rakiety, z naszej zapalenie ogniska i świateł odpowiednio rozlokowanych reflektorów. O terminie zrzutu mieliśmy być powiadomieni piosenką „Czerwony pas”, nadaną po wieczornych wiadomościach z Londynu o godzinie 20. Z niecierpliwością czekaliśmy na sygnał. Wreszcie go usłyszeliśmy. Brat posłał mnie natychmiast z tą wiadomością do „Kresowego”, który był dowódcą drugiej kompanii. Termin zbiórki został ustalony na godzinę 22. Rowerem, przez pola i miedze, z trudem dotarłem na czas na miejsce zbiórki. W pośpiechu znosiliśmy ukryte drewno na wyznaczone miejsca. Była piękna noc księżycowa, nad górami i lasami świeciło wielkie koło księżyca, a całe niebo usłane było gwiazdami. Na polach stały rzędami dziesiątki snopków zboża. Jeszcze dzisiaj, po tylu latach, mam ten cudny widok przed oczami. Co chwila gdzieś daleko przelatwały samoloty. Ale po pracy silników wiedzieliśmy, że nie były to ciężkie transportowe samoloty alianckie. Zbliżała się już godzina druga. Napięcie rosło, samoloty nie nadlatywały. Nie zobaczyliśmy oczekiwanej rakiety. O godzinie trzeciej, gdy już zaczynało świtać i wieś budziła się do życia, akcję odwołano. Niewyspani i zawiedzeni, wróciliśmy do codziennych zajęć. Co się stało z samo-

lotami, nigdy się nie dowiedzieliśmy: czy nie wystartowały, czy zostały strącone, czy zmuszone do przymusowego zrzutu na trasie?

To była moja ostatnia akcja...

A tak głupio wpadłem... Była niedziela 29 października 1944 roku. Wstałem wcześniej i wiedziony dziwnym uczuciem, jakimś niepokojem wyszedłem z domu i ukryłem się w stodole, w głębokim schowku na samym dnie sterty snopków zboża. Do dziś nie mogę zrozumieć, czemu to zrobiłem. W domu było przecież dobrze zamaskowane pomieszczenie między ścianami izby i komory, tam byłbym zupełnie bezpieczny, bo nikt nie odkryłby tej maleńkiej kryjówki. Może dlatego, że w stodole przechowywałem (bez wiedzy dowódcy) moje partyzanckie skarby: granat, rewolwer 12 mm, 3 naboje oraz trochę ostatniej konspiracyjnej prasy.

Nagle rozszczełał się Azor. To nie na sąsiadów, ale na kogoś zupełnie obcego. Dobrze ukryty, starałem się coś zobaczyć przez szpary między belkami, lecz w gęstej mgłę nic nie było widać. Po chwili usłyszałem mocno przygłuszone ujadaniem psów jakieś rozmowy, które toczyły się ani w polskim, ani też niemieckim języku. Wydało mi się, że słyszę bardzo cicho wypowiedane rosyjskie słowa. To pewnie rosyjski desant – pomyślałem. Nie zastanawiając się szybko wyszedłem ze stodoły. Trzeba dać znać dowódcy. Ledwie otworzyłem drzwi, natychmiast usłyszałem głośny okrzyk: Stój, halt!

A ja już otwierałem usta, żeby zawołać: Ja partyzant, nie bójcie się. Zaskoczony takim obrotem sprawy stanąłem jak wryty. Teraz dopiero zauważyłem, że obok Ukraińców z dywizji SS Galizien stoją gestapowcy. Gdy zobaczyłem trupie czaszki, struchlałem. Więc wpadłem, tak naiwnie, tak głupio, prawie na własne życzenie. Serce zabiło mi mocniej, strach ograniczył zdolność reagowania i uniemożliwił próbę ucieczki. A przecież w tej gęstej mgłę mogłem z powodzeniem uciekać między zabudowaniami, wpaść pod stodołę, z niej pod szopę i zarośniętymi krzewami potokiem do Grabią i dalej w las, a tam byłbym bezpieczny. Przecież nieraz wychodziłem szczęśliwie z gorszych opresji. Ale tym razem zaskoczenie było tak duże, że nie zdobyłem się na nic. Może nawet dobrze się stało, ponieważ wtedy nie wiedziałem, że cała wioska – a szczególnie nasz dom – było dokładnie otoczone i odcięte od lasu.

Podeszło do mnie dwóch gestapowców i po dokładnym zrewidowaniu, z rękami na szyi, wprowadzono mnie do domu. Tam dokonano już szczegółowej rewizji. Na podłodze leżały w nieładzie różne przedmioty, odzież, książki, a nawet pościel. Matka i siostra stały w kącie i płakały, brat Tadek stał w sieni pod silną eskortą z rękami do góry. Wrzeszcząc głośno „Polnische Banditen” i przeklinając po niemiecku, oprawcy pytali, gdzie jest broń, gdzie są miny ze zrzutów i gdzie są ukryci strąceni alianccy lotnicy. Faktycznie, w ostatnim czasie przebywał w naszym domu strącony na tym terenie kapitan RAF-u. Zrozumiałem, że to nie zwykła łapanka, przypadek, lecz wyraźna wyspa. Potrąceni i bici, w milczeniu zbywaliśmy pytania i groźby. Pewnym pocieszeniem był fakt, że przeprowadzona rewizja nie przyniosła efektów. Na odgłos kilku wystrzałów zostawiono matkę i siostrę w spokoju, a nas wyprowadzono z domu. Wtedy matka podeszła i chciała bratu podać ciepłą kurtkę, a mnie płaszcz. Nie zabraniając jeden z Ukraińców powiedział czysto po polsku:

– Matka, tych łachów szkoda, im już nie będą potrzebne, a tobie się przydadzą, bo idzie zima.

Matka zacisnęła ręce na ramionach siostry, przestała płakać i przez zacisnięte usta zdławionym głosem powiedziała jedno słowo: wróćcie.

Były to ostatnie chwile spędzone wspólnie z matką, siostrą i bratem Tadekiem. W tym gronie nie dane nam było się więcej spotkać. Znanymi dobrze ścieżkami, którymi wiele razy biegałem do szkoły, do kościoła lub do sklepu z jednym jajkiem po sól, dwoma po litr nafty, czy też, co raczej rzadko się zdarzało, ze złotówką i dziesięcioma groszami po ćwiartkę wódki przeznaczonej na litkup, poprowadzono nas na rynek byłego miasteczka – a od roku 1936 wsi – Lipnicy Murowanej. Teraz już byłem przekonany, że jedyny ratunek w ucieczce.

Uciekaj, uciekaj – ta myśl krążyła mi po głowie. Ale rozsądek podpowiadał, że przy tak silnej eskorcie nie ma żadnych szans. Ze wszystkich domów wypędzano mężczyzn i prowadzono w stronę rynku. Zauważyłem, że robili to tylko Ukraińcy bez towarzystwa Gestapo, nie pilnowano ich też tak dokładnie i nie traktowano tak surowo, jak mnie z bratem. Oni mieli jeszcze szansę ucieczki.

Wszystkie uliczki prowadzące do rynku były szczelnie zablokowane przez służbów z SS Galizien, którzy pałali szczególną nienawiścią do Polaków i teraz mieli okazję się wyżyć. Wrzeszcząc, bili i poniewierali zatrzymanych. Na rynku w samochodach zauważyłem kilkunastu dalszych faszystów w czarnych mundurach i dwóch cywilów ze swastykami na rękawach. Co jakiś czas w towarzystwie ukraińskich siepaczy przyprowadzali oni na rynek znanych mi członków Armii Krajowej. Oddzielnie ustawiono tych mężczyzn, których przyprowadzali Ukraińcy w grupach, a oddzielnie nas, aresztowanych indywidualnie przez Gestapo. Pod murem podcienia znalazło się dziesięciu znanych mi dobrze akowców i kilku mężczyzn nie znanych mi z konspiracji. Ponieważ zauważyłem że odległość między tymi grupami nie jest zbyt duża, usiłowałem przeskoczyć. Błyskawiczny skok i już stoję spokojnie w dużej grupie ludzi, powoli próbuję się wmieścić między stojących. Lecz bystry wzrok tego, który mówił do matki, że odzież nie będzie już nam potrzebna, wytropił mnie i po otrzymaniu kilku kopniaków znalazłem się z powrotem we właściwej grupie.

Stali obok mnie plutonowy podchorąży Leon Szczerkowski, ps. „Lew”, kapral podchor. Zbigniew Wyrzykowski, ps. „Maryśka” – obaj wykładowcy w szkole podchorążych, uczestnicy akcji na więzienie w Nowym Wiśniczu. Kapral Maryśka stosował niejednokrotnie stare pruskie metody szkolenia, co w naszych warunkach było bardzo przykre i uciążliwe. Pamiętam, jak po całonocnych ćwiczeniach w trudnych terenowych warunkach, w błocie i śniegu, już nad ranem, gdy oczy pełne były piasku, a nogi marzły w przemoczonych butach, powtarzał tak długo stare, dobrze nam już znane kawały, aż uznał, że śmiech słuchaczy jest wystarczająco donośny. A przecież po takiej nocy nikt nie wchodził do ciepłego łóżka, trzeba było wykonywać swoje normalne obowiązki, pracować, uczyć się i ukrywać zmęczenie i niewyspanie opowiadaniem o spędzeniu nocy na pijaństwie, kartach lub z dziewczyną. To ostatnie ze względu na mój wiek nie bardzo do mnie pasowało. Mimo wszystko lubiliśmy swojego kaprala, który swoim wyglądem przypominał żelaznego podoficera z wojskowych pism satyrycznych. Nienawidził on Niemców i pałał chęcią zemsty za wymordowanie całej rodziny.

Aresztowano sierżanta Szymona Pałkę, ps. „Jawor”, oraz podchorążego Romana Stokosę, ps. „Bodo”, podchorążego Szymona Sufczyńskiego, ps. „Tłok”. Obok stał mój brat, szeregowy Tadeusz Wieciech, ps. „Pędzel” („Turkot”), który w pracach konspiracyjnych był mniej zaangażowany ze względu na brak czasu. To on po śmierci ojca miał zostać na gospodarstwie. Pracowity jak mrówka, starał się po nowatorsku prowadzić nasze sześćohektarowe gospodarstwo. Próbował wszystko wykonać sam, cieszyła go każda praca, każdy sukces. Zawsze pogodny i uśmiechnięty, nie dawał poznać po sobie zmęczenia, ani zatroskania.

Aresztowano także brata Edwarda, ps. „Harnaś”, który mimo eskorty skoczył z mostu i mimo, że do niego strzelano, zbiegł. Znów padły strzały. To zastrzelono w czasie próby ucieczki Józefa Burdaka, pseudonim „Kruk” i Franciszka Michałka, ps. „Raj”. Spodziewaliśmy się tego samego, a w najlepszym przypadku wywózki do obozu koncentracyjnego. Gdybyśmy wiedzieli, co nas czeka, wybralibyśmy na pewno śmierć.

Pod murem podcienia, w czujnie pilnowanej grupie, stałem ze swoimi 17. wiosnami życia ja – mały „Skrzat”. O, bardzo przepraszam, podchorąży Skrzat. Życia, jak na ówczesne warunki bytu na wsi, stosunkowo niezłego, chociaż dalekiego od tego, jakie ma młodzież wiejska obecnie.

Na rynku staliśmy parę godzin. Po pewnym czasie z tłumu zaczęto wybierać młodych i zdrowych mężczyzn i ustawiać w grupy po około 50. Gdy ich gdzieś poprowadzono, na rynku zostali tylko starcy i kobiety zatrzymane po wyjściu z kościoła oraz pilnie strzeżona nasza grupa.

Po zachowaniu Ukraińców i gestapowców można się było spodziewać, że mają nas tutaj rozstrzelać. Przemawiał za tym fakt, że ustawiono nas przed wysoką podmurówką. Według naszych przypuszczeń miała to być ściana śmierci. Nagle zbliżył się do naszej grupy gestapowiec i, według kennkart, zaczął sprawdzać aresztowanych. Ponieważ ja – jako niepełnoletni – jej nie posiadałem, postanowiłem to wykorzystać, ukryć swoje prawdziwe nazwisko, a podać zmyślane. Tak też zrobiłem. Zapytany, podałem nazwisko Kwiecień, urodzony 14 kwietnia 1929 roku w Bytomsku. Celowo wybrałem takie nazwisko, które podobnie brzmiało jak moje, a nie występowało w tej okolicy. Naiwny sądziłem, że sprawdzający w to uwierzy. Przywołał tego, co nas razem z bratem Tadeuszem aresztował. Ten sprawdził nazwiska według posiadanej listy i nie dał się oszukać. Porozmawiali chwilę, a następnie podszedł i kopnął mnie mocno kilka razy. Krzyczał przy tym coś głośno i wyzywał mnie. Trudno, nie udało się, ale nadal myślałem o ucieczce. Po sprawdzeniu wszystkich stojących pod murem zarządzono odjazd. Było nas wtedy 15.

Skuto nas po dwóch, po czym, popychając i szturchając, załadowano na wozy konne. Odetchnęliśmy z ulgą. Jak mają nas rozstrzelać, to przynajmniej nie tutaj, na oczach naszych rodzin i znajomych. A może w drodze nadarzy się jakaś okazja do ucieczki lub też zostaniemy odbici? – myśleliśmy. Pod silną eskortą wieziono nas przez Nowy Wiśnicz w kierunku Bochni. Przed samą Bochnią poczułem, że muszę się załatwić. Powiedziałem o tym eskortującą nasz wóz Ukraińcom. Pozwolono mi zejść i załatwić się „aber bystro”. Z wozu musiał również zejść skuty razem ze mną aresztant. Jeszcze nie skończyłem, gdy poczułem olbrzymi ból kręgosłupa tuż powyżej pasa. Pomyślałem w pierwszej chwili, że do mnie strzelono. No, to chyba już koniec. Lecz mocne kopnięcie i wrzask: „los, los, ty mała świnia” uprzytomniły mi, że było to silne uderzenie kolbą czy lufą automatu. Skutki tego uderzenia odczuwam jeszcze dzisiaj. Z najwyższym trudem, przy pomocy skutego ze mną „Maryśki”, półprzytomny z bólu, wsiadłem na wóz.

Nie mogłem się poruszać. Każdy, nawet najmniejszy ruch powodował ostry ból. W takim stanie dojechałem do Bochni. W budynku, gdzie mieściło się Gestapo, zamknięto nas w jednej celi. Fakt ten dawał pewną nadzieję, że nie jest aż tak źle, jak przypuszczaliśmy. Wszyscy byliśmy bardzo przygnębieni, lecz pocieszałyśmy się nawzajem i przyrzekali, że nikt nie zdradzi, nie wyda innych. Następnego dnia już od rana rozpoczęło się przesłuchanie. Pojedynczo wywoływano aresztowanych. Wyprowadzony nie wracał więcej do celi. Gdy już wywołali tych wszystkich, którzy należeli do AK, przez cały dzień był spokój. Zaczęłem podejrzewać, że nikt mnie nie sypnął i podanie fałszywego nazwiska wprowadziło Gestapo w błąd. Ale już następnego dnia, wyprowadzono mnie z celi, nie pytając o nazwisko.

Rozpoczęło się przesłuchanie. Zapytany o nazwisko, uparcie twierdziłem, że nazywam się Kwiecień, urodzony w Bytomsku 14 kwietnia 1929 roku, a w tym domu, gdzie zostałem aresztowany, byłem parobkiem. Do dzisiaj w dokumentach z Montelupich i z obozów koncentracyjnych mam taką datę urodzenia. Jeszcze nie skończyłem mówić, a już leżałem powalony mocnym uderzeniem. Tłumacz pytał, co to jest Armia Krajowa. Odpowiedziałem, że nie wiem. Teraz dopiero zaczął się kołowrotek. Ciosy spadały na mnie z różnych stron z dużą częstotliwością. Głowa odbijana jak piłka, raz z jednej, raz z drugiej strony, nie miała się kiedy zatrzymać. Przerwa w biciu. Tłumacz udając litość powiedział:

– Nie mów nigdy „nie”, bo oni to rozumieją – a ścisząc głos – Powiedz mi prawdę, ja im to inaczej przetłumaczę – a po następnych ciosach – Odpowiadaj, odpowiadaj, bo oni cię zamęczą, a ty jesteś jeszcze dziecko. To tylko wzbudziło moje podejrzenia. On z pewnością chce mnie podejść. Wtedy się zaciąłem: nie, nie dam się nabrać na te sztuczki, nie powiem nic – pomyślałem.

Przecież czy coś powiem, czy nie powiem, to wszystko jedno: albo rozstrzelanie, albo obóz koncentracyjny. A przecież przysięgałem! Na zmianę bili mnie i, co było jeszcze boleśniesz, wyłamywali palce u rąk, racząc się w przerwach wódką czy samogonem. Mimo bólu uparcie powtarzałem w kółko, że nazywam się Kwiecień. Przyniesiono obiad. Leżałem w kącie prawie bez ducha. Nagle jeden z gestapowców wstał od stołu, podszedł na chwiejnych nogach do mnie z talerzem gorącej zupy i powiedział:

– Na fresse, du kleine Bandit (żryj, ty mały bandyto).

Z odrazą odepchnąłem talerz, a wtedy on cały wrzątek wylał mi na twarz. Krzyknął: „Du Schweine” i znów mnie uderzył.

Piekła poparzona twarz, boląca obita głowa, zmieszana ze łzami krew lała się z nosa, a rozpacz i gorycz dusiły gardło. Gestapowcy, jedząc i pijąc samogon, śmiali się i kpili mówiąc, że tak wygląda polski partyzant. Nagle wstali od stołu i jeden z nich krzyknął: „raus mit”. Czyżby jednak uwierzyli, że nazywam się Kwiecień, czy na dzisiaj już dosyć i następuje przerwa w przesłuchaniu? Wprowadzono mnie do oddzielnej celi. Była pusta. To utwierdziło mnie, że później nastąpi dalszy ciąg przesłuchania. Jednak w tym dniu już po mnie nie przyszli. Noc była straszna: odezwał się uszkodzony kręgosłup, poczułem

boi ze zdwojoną siłą. Nerwy odmówiły mi posłuszeństwa, zacząłem spazmatycznie szlochać. Łzy lały się strumieniami po poranionej i poparzonej twarzy. Oczy piekły, wszystko bolało. Bardzo mi się chciało pic. Jak ja wytrzymam jutro? Czy się nie załamie? W zamęcie umysłu wracały słowa przysięgi: „zdrada karana będzie śmiercią”. Zacząłem rozglądać się po celi, może uda mi się gdzieś powiesić i nie tylko przerwać jutrzejsze tortury, ale i dotrzymać słów przysięgi. Pół we śnie, pół w odrętwieniu, doczekałem rana. Nagle usłyszałem jakiś duży ruch na korytarzu. Otworzyły się drzwi celi i stanął w nich ten dobroczyńca, który wczoraj częstował mnie zupą i wylał mi ją na twarz. Był zupełnie trzeźwy. Struchlałem – zaraz się zacznie od nowa. Tymczasem on spokojnie powiedział po polsku – No wylaż, ty mały partyzant.

Bez szarpania i bicia wyprowadził mnie na dziedziniec. A więc mówił po polsku i wiedział wszystko, co do mnie mówił tłumacz. To mnie upewniło, że tłumacz chciał mnie podejść. Na podwórku stali pozostali członkowie AK, gotowi do wymarszu lub rozstrzelania. Stan ich był okropny. Najbardziej zmasakrowani byli „Maryśka”, „Lew”, „Gazda” i mój brat Tadek. Udało mi się stanąć obok niego a on mocno uściśnął moją rękę. Wszyscy milczeli. Jedno jest pewne ze podczas przesłuchań nie udało się gestapowcom uzyskać żadnych informacji o członkach naszej organizacji.

To, że należeliśmy do AK, wiedzieli oni jeszcze przed aresztowaniem. Po naszej wpadce nie poszukiwano i nie aresztowano już nikogo. A przecież każdy z nas wiedział bardzo dużo. Gdyby nawet znikomą część tych wiadomości udało się im wydusić, aresztowania objęłyby dalszych członków organizacji. Zarówno „Lew”, jak i „Maryśka” znali me tylko dowódcę naszego batalionu (1 batalion 12 pp AK), komendanta placówki Łosoś, ale i jego podchorążaków i wielu innych żołnierzy II kompanii (wchodzili w jej skład partyzanci z terenu Lipnicy). „Gazda” znał wszystkich chłopów, którzy z nami współpracowali. Ja, jako łącznik dowódcy, ppor. „Tamarowa”, czyli brata Jozefa, znałem wszystkie punkty kontaktowe w Nowym Wiśniczu i Bochni, skąd odbierałem prasę konspiracyjną i rozkazy. Znałem miejsca powielania ulotek, gazetek i przechowywania radia.

Tak, tego nikt nie zdradził, nie przyczynił się do dalszych aresztowań i ofiar. Wszyscy, którzy nie należeli do AK, a byli razem z nami aresztowani, po sprawdzeniu tożsamości zostali zwolnieni. Fakt ten potwierdził nasze przypuszczenia, że była to wyspa i zdrada jednego z dobrze poinformowanych członków naszej organizacji.

Pod silną eskortą, skutych po dwóch, poprowadzono nas na dworzec kolejowy. Wygląd nasz budził strach. Niektórzy przechodnie zerkali ukradkiem na ten żalosny konwój starali się rozpoznać lub zapamiętać twarze prowadzonych. Może coś się stanie, może nas odbiją – łudziliśmy się przez całą drogę, dyskretnie się rozglądając. Nic się jednak nie wydarzyło. Załadowano nas do osobowych wagonów, wygodnych pulmanów II klasy. Pierwszy raz w życiu jechałem takim wagonem, szkoda tylko, że w takich okolicznościach, zbity i skut, w nieznanym kierunku, ku nieznanemu przeznaczeniu. Po przejściach na gestapo podróż wydawała się rajem dla będącej znów razem grupy „przeklętych



bandytów”. Wartownicy stali na korytarzu i pozornie nie zwracali na nas uwagi. Mogliśmy ze sobą rozmawiać, więc cicho zaczęliśmy się naradzać odnośnie ucieczki. Duże okno stwarzało pewne szanse. Zasadniczą przeszkodą było to, że byliśmy skuci po dwóch, co utrudniłoby wyskoczenie i dalszą ucieczkę. Mając małą dłoń, długo, ale bezskutecznie próbowałem ją wyciągnąć z żelaznej obręczy. Umilkliśmy, gdy wartownicy zaczęli na nas zwracać baczniejszą uwagę – albo coś podejrzewali, albo usłyszeli i zrozumieli nasze słowa. Jestem pewien, że gdyby ktokolwiek z nas wiedział, co go dalej czeka, na pewno ryzykowałby ucieczkę. Ale wydarzeń, jakie miały nas spotkać, nikt nie wyobrażał sobie nawet w najgorszych przewidywaniach.

Przyjechaliśmy do Krakowa. Na peronie czekała już nowa eskorta, z pałkami i psami. Na małą grupkę więźniów nikt tutaj nie zwracał specjalnej uwagi. Przypadkowi przechodnie oddalali się bojaźliwie od naszego konwoju. Najkrótszą drogą zaprowadzono nas do więzienia na ulicy Montelupich. Na korytarzu ustawiono stół i po kolei rejestrowano przyprawdzonych. Była tam wtedy tylko nasza mała grupka. Z listy, po nazwisku, wywoływali każdego. Gdy wyczytano nazwisko „Julian Kwiecień”, na moment zaniemówiłem. To jednak się udało z podaniem fałszywego nazwiska – pomyślałem, nie spiesząc się z podejściem do stołu. W tym momencie uprzedzając mnie, nieświadomy co czyni, odezwał się jeden z kolegów: Nie Kwiecień, lecz Wieciech.

– Więcek, Wiecień, Wojciech – kaleczył moje nazwisko zapisujący. Pod dyktando usłużnego kolegi, dyktującego każdą literkę, zapisał prawidłowo moje nazwisko. Jak podczas aresztowania, rok urodzenia podałem nieprawdziwy. Tak stałem się znów Wieciechem, ale dokładnie o dwa lata młodszym. Gdy później znaleźliśmy się razem w jednej sali z tym kolegą i wyjaśniłem o co chodziło, ten nie mógł sobie darować swojego czynu. Ale już było za późno, ja zaś przez kilka dni i nocy martwiłem się, że o wyjaśnienie zwrócą się do Bochni i może się to źle skończyć. Nic takiego na szczęście nie nastąpiło. Mycie, golenie, odwszawianie odzieży i przy wrzasku „schnell, schnell” zapędzono nas do cel więziennych.

Razem z „Gazdą”, „Maryską” i „Brzeszczotem” zostałem umieszczony w ostatniej, narożnej celi na trzecim piętrze. Jeszcze teraz, gdy przejeżdżam tramwajem, instynktownie spojrzę na okno „mojej” celi. Na brudnej podłodze leżały dwa mocno zniszczone sienniki. Słoma, którą były niegdyś wypchane, starta była na sieczkę i wysypywała się przez dziury. W pomieszczeniu oprócz pieca i kibla nie było żadnych przedmiotów ani mebli. Przez zakratowane okno, dodatkowo zasłonięte na zewnątrz koszem, nic prócz ciemnych, jesiennych chmur nie dało się zobaczyć. Smutno i ponuro. Znużeni położyliśmy się na podłodze, kładąc głowy na siennikach. Natychmiast błysło światło w judaszu i usłyszeliśmy stęk wypowiadanych po ukraińsku przekleństw oraz pouczenie, że w dzień nie wolno się kłaść. Ledwie ucichł wrzask na korytarzu, gdy usłyszeliśmy ciche pukanie w ścianę między piecem a drzwiami i na podłogę wypadła zwinięta w rulonik karteczka. Było na niej kilka pytań, skąd zostaliśmy przywiezieni i kim jesteśmy. Po dłuższych oględzinach stwierdziliśmy, że jeden piec ogrzewał dwie cele a obok niego ściana między celami była bardzo cienka. W tym miejscu zrobiona była mała na grubość palca dziura. Tą drogą przekazywano z celi do celi wiadomości. Nasz sąsiad, albo szpicel, albo jakiś uprzywilejowany prominent więzienny, pytał na tej kartce, za co siedzimy. Nic nie odpowiedzieliśmy. Przysłał drugą karteczkę i kawałek ołówka, znów bez odpowiedzi z naszej strony. Wtedy już o nic nie pytał, tylko napisał, że jest swój, żeby się go nie bać. Co parę dni przysyłał nam przez ten mały otwór kawałeczki słoniny i papierosy. Mimo że „się go baliśmy, przesyłki odbieraliśmy. Tą drogą otrzymałem wiadomość, gdzie siedzi brat Tadek i pozostali z naszej grupy. Co parę dni zjawiał się stary Niemiec w towarzystwie więźnia z wiadrzem wypełnionym gipsem lub wapnem, i, po stwierdzeniu, że w ścianie jest dziura, kazał ją zaklejać. Nam groził palcem i mówił: kuwa, dziua.

Początkowo baliśmy się, lecz widząc jego zachowanie, zaraz gdy tylko wyszedł z celi, w świeżym jeszcze gipsie, znów robiliśmy dziurę. Taka zabawa powtarzała się co parę dni. Odwiedziny starego były dla nas atrakcją. Drugą atrakcją było przysłuchiwanie się, jak wujek Rudnik i hrabia Ledóchowski rozmawiali o polityce. Całymi dniami starali się przekonać nawzajem do swoich racji. Rudnik miał zwyczaj mówić często: „Panie święty, tego”. Robił to zwłaszcza wtedy, gdy znalazł się w sytuacji, z której nie umiał wyjść. Słowa: „Panie święty, tego” tworzyły cały sens wypowiedzi i powtarzały się wielokrotnie. Hrabia bardzo się denerwował, gdy rozmówca nie przyznawał mu racji i wtedy nie wymawiał litery r. Mieliśmy z tego powodu ubaw. Raz nawet próbowałem liczyć „Panie święty, tego” i słowa wymawiane bez litery r, ale gdzieś około tysiąca pogubiłem się. Jedzenie było bardzo słabe i niesmaczne, stale byliśmy głodni. Kilka razy dostaliśmy dodatkowo paczki z RGO: marmoladę, suchy chleb i psujący się, śmierdzący ser. Co było lepszego, zjadali ukraińscy wartownicy. Czasem, gdy otrzymali złe jedzenie lub najedli się wyszabrowanymi z paczek artykułami, wtedy po kryjomu podrzucali nam resztki. Nie robili tego z sympatii dla nas, lecz dla własnego interesu, bali się bowiem zwracać nie opróżnione kotły. Mogło to spowodować nie tylko zmniejszenie porcji, lecz również nasunąć podejrzenie o innych źródłach zaopatrzenia w żywność. Mimo, że im Niemcy coraz mniej ufali i coraz gorzej ich traktowali, to jednak nadal zachowywali się wobec więźniów bardzo brutalnie, bili i kopali za błahe czy nawet wymyślone przewinienia. Pamiętam, jak pewnego dnia, wynosząc kibel zahaczyłem o drzwi i omal nie

wylałem fekaliiów, za co zostałem kilkakrotnie uderzony w twarz, aż połała się krew z nosa. A przecież Niemcy już przegrywali wojnę, Ukraina była zajęta przez wojska sowieckie. Nie spełniły się mrzonki o obiecywanej przez hitlerowców Saomostijnej Ukrainie. Czekał ich taki sam los, jak ich pozornych sprzymierzeńców. Coraz częściej zdarzały się przypadki dezercji Ukraińców, którzy szukali schronienia i pomocy u prześladowanych dotąd Polaków.

Po kilku dniach, zaraz po śniadaniu, wywołano mnie z celi. Na korytarzu stało dwóch gestapowców oraz kilkunastu więźniów. Krzycząc „gówno” i bijąc gdzie popadło, wyprowadzono nas z budynku więzienia i załadowano do okratowanej budy. Wszystkich ogarnął lęk, tylko jeden, młody, dobrze wyglądający mężczyzna, próbował nas pocieszać, mówił, że dopiero dwa dni temu został aresztowany na Dąbiu. Śmiało, na cały głos, nie bojąc się konwojentów mówił, że lada dzień Niemców szlag trafi, że już się pakują te klarnety i że na Święta będzie z nimi koniec. Sądziliśmy, że jest to konfident. Przez szpary obserwował drogę. Nagle mina mu zrzedła i przestał żartować, wjechaliśmy na podwórko siedziby Gestapo przy ulicy Pomorskiej. Otwarto budę i wprowadzono nas do dużego gmachu. Ale zrobili to już gestapowcy. Nie żałowano nam razów i wyzwisk. Najczęściej dało się słyszeć „Polnische Banditen, Schweinen, Drek”.

Przy głośnym „los, los” ustawiono nas w jednym szeregu. Przyszło dwóch cywilów, którzy każdemu z nas dokładnie się przyjrzeni. Wskazali na starszego człowieka i chłopca z Dąbia i natychmiast ich zabrali. Staliśmy tam jeszcze godzinę, niepewni, co się z nami stanie. W końcu kazano wsiadać do budy. Serce biło mi mocno. Gdzie nas teraz zawiozą: czy z powrotem do więzienia, czy na rozwałkę, jak mówili bardziej bojaźliwi. Podejrzenia potęgował fakt, że wartownicy teraz zachowywali się zupełnie przyzwoicie, nie bili i nie krzyczeli na nas. Pewnie już wiedzą, co nas czeka i dają spokój – myśleliśmy. Jednak przyjechaliśmy na Montelupich, zaprowadzono mnie znów do mojej celi. Cieszyli się wszyscy i wypytywali, gdzie byłem i po co. Gdy mnie zabrano, sądzili, że to na dalsze przesłuchanie i bardzo się martwili. W sąsiedniej celi było cicho, na nasze stukania w ścianę nikt nie odpowiadał, skończyło się nasze dożywianie i papierosy. Sąsiad i chłopiec z Dąbia już nie wrócili z ulicy Pomorskiej.

7 grudnia już od samego rana panował wielki ruch. Słyszał się krzyki i bieganinę. Na śniadanie podano lepszą, gęściejszą zupę. Gdy wystawiałem kibel, od wartownika otrzymałem kawałek chleba. Najstarszy wiekiem „Gazda” podzielił ten kawałek sprawiedliwie na cztery części. Nie chcieliśmy się na to zgodzić, ponieważ w ubiegłym tygodniu, gdy – nie wiadomo jakim sposobem – jeden z nas otrzymał paczkę, to nie podzielił się z nami. Nie pomogły nasze protesty: chleb został podzielony na cztery części, a winowajca bez żenady przyjął swoją porcję. Głośne wołania słyhać było coraz bliżej naszej celi, to chyba ewakuacja całego więzienia. Wszystko co nowe, było groźne i budziło lęk. Z rozmów na korytarzu wynikało, że to jest ewakuacja-transport do Mauthausen lub Gross-Rosen. Tak pierwsza, jak i druga nazwa nie robiła na nas większego wrażenia, grozą napełniały wszystkich słowa: Oświęcim, Majdanek. „Raus, raus” – słyhać było coraz bliżej. W końcu otwarto naszą celę. Wywołano kolejno trzech moich towarzyszy i zamknięto drzwi. Pozostałem w celi sam. Dlaczego mnie pozostawiono, co teraz będzie ze mną – myślałem. Zacząłem głośno wołać i rękoma mocno walić w drzwi. Za chwilę drzwi się otwarły i, o dziwo, wartownik czysto po polsku zapytał, o co mi chodzi. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, bezmyślnie powiedziałem, że jestem z jednej grupy z tymi, co ich zabrano, że chcę iść razem z nimi. Wartownik zdziwiony odszedł, a po paru minutach wywołano również mnie, a na moje miejsce wprowadzono innego więźnia. Dopiero wtedy zrozumiałem, co zrobiłem. Na dobre lub na złe, na własne życzenie dołączyłem do współtowarzyszy niedoli.

Sprowadzono mnie do dużej sali na parterze lub w suterenie. Oprócz starych więźniów, których łatwo było rozpoznać, znajdowali się tam różni ludzie schwytani na ulicach, w tramwajach i pociągach. Widać to było nie tylko po ich wyglądzie, ale i tobołkach i walizkach kurczowo trzymany w rękach. W tej masie ludzi z trudem odszukałem brata i swoich towarzyszy. Postanowiliśmy, że o ile to będzie możliwe, będziemy trzymać się razem. Do małego pomieszczenia nadal wprowadzano więźniów.

Nagle przez wrzawę i hałas usłyszałem śpiew. Z trudem łowiłem słowa: „Przed ciosem niechaj tyran drży”, wrzawa umilkła. W końcu sali śpiewano nadal, ale nie mogłem dosłyszeć słów. Długo jeszcze nie wiedziałem, co to była za pieśń. Wtedy, w kazamatach więzienia, jej słowa wywarły na załamanych więźniach silne wrażenie, dodały sił i wiary w przetrwanie, w zwycięstwo. Lecz to nie uszło na sucho. Na sali znajdował się konfident. Gdy na salę wpadli gestapowcy, podbiegł do nich i pokazał, gdzie śpiewano. Tłum szybko zmieszał się, a Niemcy bili na oślep, kogo popadło. Płacz, przekleństwa oraz słowa modlitwy mieszały się z odgłosem uderzeń. Gdy oprawcy się już zmęczyli, otwarli drzwi i rozległo się znane mi już „raus, raus”. Kopaniem i biciem popędzono opieszłych i słabych do wyjścia. Ustawiono nas w piątce, kilkakrotnie przeliczono i załadowano do szczelnie krytych plandekami samochodów. Nie pamiętam, jakim sposobem dowiedzieliśmy się, że jedziemy do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Na cudem zdobytych skrawkach papieru pisaliśmy swoje nazwiska i adresy, prosząc o zawiadomienie rodzin i gdy tylko wyjechaliśmy na ulicę, wyrzuciliśmy je. Żadna kartka, ani moja, ani brata, nie dotarła do adresata.

Po paru minutach byliśmy na dworcu kolejowym. Na peronach pełno było żołnierzy. Ale jakie to było wojsko. To już nie panowie świata. Gdzie ich buta i pewność siebie, gdzie głośny śpiew? Bandaże i protezy oraz znaczne bagaże były teraz ich ozdobą. Wlokąc do niewzyciężonego Heimatu połamane i poddmrażane gnaty, nie zapomnieli zabrać ze sobą tego, co zdążyli zrabować żywym i umarłym. Załadowano nas do ostatniego wagonu wojskowego transportu. W drzwiach każdego przedziału stało dwóch konwojentów. Nie było żadnych szans na ucieczkę, każdy nasz drobny ruch powodował szybką reakcję pilnujących. Po kilkunastu minutach zasnąłem. Gdy się zbudziłem, pociąg zatrzymał się w Katowicach. Był właśnie alarm lotniczy i staliśmy tam dosyć długo. Słychać było przeraźliwe wycie syren, ale nalotu nie było. Pociąg ruszył w dalszą drogę.

Był już zmierzch, gdy dotarliśmy do celu podróży. Głośne wrzaski „aussteigen”, dały sygnał do wysiadania. Mała stacyjka, dokładnie zaciemniona i ledwie widoczny napis Gross-Rosen utkwily mi w pamięci. Gdy tylko wysiedliśmy z wagonów, natychmiast dopadła nas sfera dzikich bestii z bykowcami w rękę i psami. Byli to już esesmani z obozu, miejsca naszego przeznaczenia. Gross-Rosen nie był tak powszechnie znanym obozem jak Oświęcim, Dachau czy Buchenwald, lecz wcale nie był on od nich lepszy.

Wrzaski esesmanów, szczekanie psów i przenikliwie zimno kontrastowały z jazdą w wygodnych ciepłych wagonach. Ustawiono nas w piątce i ruszyliśmy w stronę obozu. Z nienawiścią i pogardą patrzyli na nas mieszkańcy okolicznych domów. Nie uszliśmy daleko, gdy zobaczyliśmy ściany dużego kamieniołomu, a następnie bloki, druty, bramę i baraki obozu. Już z dala było widać nad bramą perfidny napis: „Arbeit macht frei”. Nie wprowadzono nas do środka. Wracaly właśnie komanda pracujące poza terenem obozu. W dużych kolumnach szły wychudłe z głodu i wycieńczone od pracy, szerniałe od wiatru, stukające drewniakami o bruk, bardziej podobne do trupów niż do żywych postaci. Czasem ktoś odważniejszy cicho zapytał: Skąd?, a usłyszawszy odpowiedź pytał dalej: A nie ma tu... i wymieniał kogoś bliskiego. Ale każda rozmowa była „streng verboten”, kończyła się najczęściej pobiciem jednego i drugiego. Zapadł zmierzch, zmienili się wartownicy, a my dalej staliśmy. W obozie było już po wieczornym apelu, gdy wreszcie po przeliczeniu, przeprowadzono nas przez bramę i ustawiono przed blokiem przyjąć. Natychmiast wokół nas, jak hieny koło padliny, zjawilo się kilkunastu funkcyjnych więźniów. Początkowo po dobroci, a gdy to się nie udawało, siłą odbierali posiadającym wszystkie zawiniątka. Pilnujący esesmani udawali, że tego nie widzą. Czasem tylko, gdy napastowany zbyt stanowczo bronił swego mienia, bili bykowcami.

Nagle błyskawicznie się ulotnili. Przybył blokowy cugangów Kurt Vogel, jego sztabowy Marian Torz i kilku innych siepaczy z jego bloku. Nadszedł również lageraltester, który oczywiście po niemiecku, powiedział kilka zdań. Zrozumiałem tylko „Ordnung” i „Arbeit”, jak się później dowiedziałem mówił on, że wejście do obozu jest przez bramę, a wyjście przez komin krematorium. Mówiąc to pokazywał na dymiący komin. Wtedy nie wierzyłem jeszcze, że jest to prawda, że słodkawy, mdły zapach pochodzi z palenia ludzkich ciał. Zapadła noc. Wiał silny wiatr, padał deszcz ze śniegiem, było bardzo zimno. Po kilku godzinach starsi i chorzy próbowali siadać na zimnym, mokrym betonie, inni padali ze zmęczenia i wycieńczenia. Natychmiast zjawiał się przy nich funkcyjny lub esesman i bił bykowcem oraz kopał. Więźniowi albo udało się wstać, albo czekała go śmierć w okropnych męczarniach. Taki sam los spotykał tych, którzy musieli załatwić swoje fizjologiczne potrzeby. „Schweinerei”, „Aschloch” i inne wulgarne przekleństwa i wyzwiska towarzyszyły biciu i katowaniu oszołomionych cugangów. Szczególny udział w tym mieli funkcyjni z bloku Vogla. Ci zwyrodnialcy pełnili różne funkcje w obozie, jak kapo czy vorarbeiter. Ze względu na osobiste bezpieczeństwo, ulokowani byli w małej sali bloku nr 19. Każdy cugang, który przybywał do obozu w wolnych od pracy godzinach, narażony był na ich szykany już na placu apelowym. Szczególnie witano każdego więźnia na 19, przejściowym bloku.

Noc dłużyła się niemiłosiernie. Było jeszcze zupełnie ciemno, gdy rozległ się gong i zamarły obóz odżył. Zaczął się gorączkowy ruch, z kuchni wynoszono kotły z zupą i chleb. Może i my też coś dostaniemy – ludziliśmy się przez chwilę. Nie jedliśmy nic przez całą dobę. Ale nic z tego. Zbudzeni ze snu więźniowie szybko myli się, ubierali, jedli śniadanie i stawali przed swoimi blokami do rannego apelu. Skąd ich tak dużo – dziwiliśmy się widząc taką masę pasiaków przed małymi blokami.

Po wyjściu komand za bramę i uformowaniu kilku grup do pracy na terenie obozu zajęto się nami. Kazano nam się rozebrać do naga i złożyć bieliznę i odzież dwa kroki przed szeregiem, następnie to wszystko powrzucono do worków, kazano też oddać posiadane przy sobie kosztowności. Szczególnym zainteresowaniem cieszyli się więźniowie posiadający złote zęby – byli zabijani od razu. Po zakończeniu tej akcji popędzono nas do tak zwanej odwszalni, gdzie zostaliśmy cali wygoleni i poddani dezynfekcji. Ostrzyżono włosy na głowie i każdemu od czoła do szyi wygolono trzycentymetrowy pasek. Nie obyło się przy tym bez poniewierania przez funkcyjnych fryzjerów. W starej łaźni na środku znajdował się basen, napelniony szarą, gryzącą cieczą i każdy w tym basenie musiał się całkowicie zanurzyć. Biada temu, kto bojąc się brudnej cuchnącej wody, nie zanurzył głowy. Nadzorujący esesman lub funkcyjny więzień bił wtedy bykowcem, wciskał głowę i przytrzymał długo w tej cuchnącej i gryzącej cieczy. Podobno w ten sposób utopiono kilku cugangów. Ogoleni i odwszeni stanęliśmy do rejestracji:

nazwisko, imię, data urodzenia, zawód i kogo należy zawiadomić na wypadek śmierci. Każdy otrzymał numer wybity na blaszce. Blaszkę należało nosić zawsze na szyi, a za jej zgubienie groziła ciężka kara. Od tej chwili każdy z nas stawał się numerem, mieć swoje nazwisko i imię, przestawał być człowiekiem. Ważny był tylko numer, którego nie wolno było zapomnieć. Brat Tadek otrzymał numer 85373, a ja 85357.

Na bosaka i nago zapędzono nas na blok przejściowy nr 19. Blok ten budził grozę w całym obozie. Był to blok karny Vogla i blok cugangów. Zmęczeni podróżą i całonocnym stanieniem przed blokiem przyjąć, zmalretowani fizycznie i psychicznie, popędzani kopniakami, wbiegaliśmy do baraku, w biegu chwytałyśmy rzucaną nam odzież i buty. Wydawano jak popadło, a biada temu, kto nie zdążył chwycić rzuconego mu przydziału. Każde schylenie się i zatrzymanie tempa, to wyzwiska i razy. Po odebraniu odzieży, w olbrzymim ścisku, zaczęło się wymiennianie rozmiarów. Mimo usilnych starań nie udało mi się dobrać odzieży na swój wzrost. Wszystko na mnie było o wiele za duże, wyglądałem jak strach na wróble. Rozśmieszyło to nawet sztabowego i innych funkcyjnych.

Jak mi mówiono, dawniej przy wejściu na salę czekała na przestraszonych więźniów dodatkowa pułapka, tuż za drzwiami ustawiona w poprzek szeroka deska. Kto tego nie zauważył, potknął się i upadł, otrzymywał specjalne powitanie bykowcami.

Nie otrzymaliśmy tak zwanych pasiaków. Napływ więźniów był tak duży, że obozowych pasiaków, mimo stałego uzupełniania przez krematoria, nie starczało dla wszystkich. Otrzymaliśmy ubrania, na których wymalowane były czerwonym lakierem szerokie pasy na rękawach, plecach i nogawkach spodni. Każdy dostał kawałek białego płótna, taką małą szmatkę, i na niej drewnianymi klockami, maczanymi w odpowiednim lakierze, odbijało się odpowiedni winkiel i swój numer. Szmatkę tę należało przyszyć na lewej stronie piersi na marynarce. Każdy winkiel miał swoje znaczenie, w zależności od koloru litery. Litera oznaczała narodowość: Polacy nosili literę „P”, Rosjanie „Ru”, Czesi „Tch”, Jugosłowianie „Ju” i tak dalej, tylko Niemiec więźniowie nie nosili żadnej litery. Kolor oznaczał rodzaj przewinienia, za które człowiek został osadzony w obozie: czerwony nosili więźniowie polityczni, czarny – element społeczny, sabotażyści i Cyganie, różowy – homoseksualiści, zielony – kryminaliści. My otrzymaliśmy winkle w kolorze czerwonym. Dopiero po uporaniu się z tym zajęciem dostaliśmy pierwszy posiłek, za zaległą kolację, śniadanie i obiad. Na podłodze leżał stos zardzewiałych i poobijanych metalowych misek. Każdy po kolei podchodził, podnosił jedną z nich i podstawił nalewającemu z kotła zupe. Misek nie starczyło dla wszystkich. Chochła zimnej, wodnistej zupy z brukwi i kawałeczek chleba były naszym posiłkiem. Nalewający, zależnie od tego, czy mu się cugang podobał, czy też nie, nabierał więcej lub mniej, sięgał głębiej do kotła lub z wierzchu nabierał samą ciecz. Ponieważ nie mieliśmy łyżek, a zupa była bardzo rzadka, nie mieliśmy problemów z jedzeniem. Prosto z misek wypiliśmy zupe, pogryzając chlebem. Jeść trzeba było szybko, bo na miskę czekali kolejni zgłodniaли więźniowie. Ale nie tylko nie starczyło misek, zabrakło również zupy dla kilku cugangów. Gdy podeszli do kotła, zamiast jedzenia otrzymali chochlą po głowie za to, że chcieli po raz drugi wyłudzić przydział. Nie pomogły żadne tłumaczenia, oprócz razów nie otrzymali nic. Chociaż jeszcze wtedy nie znałem powiedzenia, że ostatniego gryzą psy, zrozumiałem, że nigdy nie należy być ostatnim.

W bloku 19. mieściła się karna kompania i Sonderkomando, przechodzili też w nim chrzest nowo przybyli do czasu skierowania do innych bloków lub podobozów. Funkcje blokowego pełnił jeden z największych oprawców w obozie, Kurt Vogel, kryminalista, były sutener z Wrocławia. Sztabowym w części baraku, przeznaczonej dla nowo przybyłych, był Marian Torz z Poznania. Drugą część baraku zajmował Vogel, karna kompania i Sonderkomando. W nocy spali tam najgorsi w obozie funkcyjni. Tutaj przeszliśmy swój obozowy chrzest. Oprócz Vogla, najbardziej znęcali się nad nami właśnie ci specjalnie dobrani funkcyjni. Wyżywiali się na nas, wymyślając coraz to nowe sposoby tortur. Wyjątkowym łotrem z tej zgrai morderców był mały Cygan, pomocnik Torza.

Wreszcie kończy się ten upiorny dzień. Słychać gong i głośnie krzyki: „raus, raus”. Wybiegamy przed blok, popędzamy przez sztabowego i stajemy do pierwszego apelu. Nie wszystko idzie sprawnie, nie wszyscy rozumieją język niemiecki, nie wiedzą co mają robić. Krzyki, popychanie i bicie. Voglowi przy ustawianiu bezładnej masy pomagają Torz i funkcyjni. Wreszcie wszystko w porządku, stoimy prawidłowo. Zebranych najpierw liczy Vogel, melduje stan Blockfuhrerowi, ten sprawdza stan i melduje dalej. Wszyscy stoją i czekają, aż stan całego obozu będzie się zgadzał. Gdyby coś się nie zgadzało, stalibyśmy może nawet całą noc, aż stwierdzono by pomyłkę w liczeniu lub znaleziono żywego lub zakatowanego więźnia.

Koniec apelu. Idziemy spać. W małej sali, przeznaczonej na sypialnię, nie ma łóżek, materaców ani nic do przykrycia. Nawet stojąc nie możemy się w niej zmieścić, a jak tu będą mogli się wszyscy położyć. Wydaje się to nieprawdopodobne. Pada rozkaz: Rozebrać się do naga, włożyć pod głowę odzież i buty oraz kłaść się spać.

Równo, w szeregach na jednym boku, próbujemy się położyć. Znów układanie, zagęszczanie i bicie. Wreszcie, sam nie wiem jak, udało się wszystkim położyć. Jest tak ciasno, że nie można się odwrócić na drugi bok, nie można się nawet ruszyć. Podłoga twarda, diabelnie zimno, bo „dla zdrowia” pootwierane

są wszystkie okna, a przecież to grudzień. Leżę w rogu sali, przy samej ścianie. Niby to lepiej, ale za to znacznie zimniej, bo jedna strona ciała nie jest ogrzewana przez sąsiada i bardzo marzną. Nie mogę zasnąć, próbuję liczyć barany. Niestety, co parę minut słychać głośne przekleństwa, razy uderzeń i jęki maltretowanych. To dzieło pilnującego nas funkcyjnego Cygana.

Chorzy, przeziębieni więźniowie, potrzebowali wyjść do ubikacji. Wychodząc w tym tłoku, po ciemku, zakłócali ciszę, deptali po leżących, robili wiele zamieszania i hałasu, byli odtrącani i gryzieni przez deptanych więźniów. Na tę okazję czekał Cygan, błyskawicznie wkraczał do akcji i deptając po wszystkich leżących, podbiegał w odpowiednie miejsce, przeklinając w wielu językach kopał i bił bez opamiętania, kogo popadło. Rano w umywalni leżało kilka zmasakrowanych, martwych ciał.

Straszna była ta pierwsza noc w Gross-Rosen.

Nareszcie gong, wszyscy podrywają się i po omacku wkładają na siebie buty i odzież. Ktoś w nocy stracił spodnie, inny buty i znów okazja do bicia. Teraz szybko do łazienki. Było tam zaledwie kilka kranów z zimną wodą na około dwustu więźniów. Tłok, przepychanie, przekleństwa. Kilku siepaczy pilnowało, żeby mycie było „genau”, a jednocześnie wykonane błyskawicznie. Na miejsce przy kranie czekali następni. Określenie, czy heftling myje się dokładnie i czy nie za długo blokuje miejsce przy kranie, zależało od kaprysu funkcyjnego. Znów okazja do bicia. Na ubranie się i mycie przeznaczone było zaledwie 15 minut. W okropnym ścisku i braku miejsc przy korycie trudne to było do wykonania. Gdy wszyscy wrócili na salę, sztubowy wybrał kilku silniejszych heftlingów, którzy poszli do kuchni po zupę. Mimo że starałem się zawsze przebywać w środku grupy, nagle znalazłem się przy samych drzwiach. Wtedy właśnie sztubowy, bez słowa, rzucił pod nogi trzy miotły.

Co robić – pomyślałem – czy stać i czekać na rozkaz, czy samemu podnieść miotłę i zabrać się do sprzątania? Przecież leżeliśmy na podłodze nago, bez materaców i koców. Skąd śmieci, co tu sprzątać? W tej samej chwili usłyszałem odgłosy uderzeń i przeraźliwy krzyk. To blokowy Vogel i kapo z kamieniołomów uczyli myć się jednego heftlinga z karnej kompanii. Przestraszony chwyciłem natychmiast za miotłę i nie czekając na polecenie, zacząłem zamiatać. Jeszcze ktoś drugi podniósł miotłę. Trzecia leżała na podłodze. Wtedy właśnie na salę wszedł Vogel, rozgrzany i zmęczony dopiero co zakończoną akcją w umywalni. Spojrzał na leżącą na podłodze miotłę, zaczął ryczeć i walić najbliższych knyblem. „Brudasy, świnię” – to były jego najdelikatniejsze przezwiska. Po chwili ktoś wywołał go z sali. Wtedy sztubowy Torz wygłosił drugą po przybyciu do obozu mowę powitalną. Mówił, co to jest obóz koncentracyjny, kim tutaj jesteście (świńskie łajno i numer) oraz jakie tu panują porządki. „Tutaj Bogiem i panem dla was jest blokowy Vogel i ja, sztubowy Torz. Zapamiętajcie sobie to raz na zawsze. Weszście tutaj przez bramę, a my mamy się postarać, żebyście ten obóz opuścili jak najszybciej przez komin krematorium. Stąd innej drogi wyjścia dla was nie ma”.

Mówił jeszcze co wolno więźniowi w obozie, a co nie. Wolno przestrzegać regulaminu (którego nikt z nas nigdy nie widział), wolno być posłusznym, dobrze pracować i być zawsze czystym. Wszystko inne jest zabronione i karane. Po skończonym przemówieniu wyciągnął z tłumu ślaniającego się starca (był to chyba Włoch) i wręczył mu wolną dotąd miotłę. Wszyscy wyszli z baraku, a my błyskawicznie zamietliśmy salę. Przyglądał się temu sztubowy i funkcyjny Cygan.

Nareszcie śniadanie. Taka sama wodnista zupa, ale już bez kromki chleba. Chleb otrzymają tylko ciężko pracujący. Następnie apel, tym razem stajemy sprawnie i równiutko po pięć osób w każdym szeregu. Vogel liczy, a meldując stan więźniów, chwając się dodaje: Und sechs in Abort.

Jest to liczba brakujących na apelu więźniów, zamordowanych od wczoraj, leżących w łazience i oczekujących na zabranie do krematorium. Po apelu rozpoczęła się nauka słuchania rozkazów, marszu, meldowania i oddawania honorów każdemu napotkanemu esesmanowi. Na 10 kroków przed zbliżającym się esesmanem należało zdjąć czapkę i założyć na głowę dopiero po jego oddaleniu się na taką samą odległość. Gdy szła grupa, odbywało się to na rozkaz funkcyjnego. Na słowo „Mutzen” należało chwycić za czapkę, na słowo „ab” czapkę zdjąć z głowy i mocno ręką uderzyć w nogawkę spodni. Gdy esesman oddalił się na odpowiednią odległość, na słowa „Miitzen auf” włożyć czapkę na głowę. Pierwsze ćwiczenia odbywały się bardzo niesprawnie, mało kto rozumiał wypowiedziane w języku niemieckim rozkazy. Stanowiło to pretekst do wyzywania i bicia. Już pierwszego dnia został bardzo pobity wujek Rudnik, który nie znając niemieckiego, nie rozumiał rozkazu i nie wykonał polecenia. Najpierw otrzymał kilka uderzeń w twarz, a gdy upadł, jeszcze parę kopniaków. Po wieczornym apelu próbowaliśmy go pocieszyć i podnieść na duchu, lecz on był kompletnie załamany. Taki sam los spotkał mojego brata Tacka, który jednak mimo otrzymanych ciosów, nie upadł na ziemię i nie został skopany. Po tygodniu ćwiczeń z tego transportu ubyło wielu więźniów. Słabsi fizycznie i psychicznie narażali się systematycznie na wszelkie szykany, w każdym miejscu i o każdej porze, esesmanom, blokowym, sztubowym i całej zgrai, pomniejszych funkcyjnych, aż do fryzjera włącznie. Raz podpadnięty, obity i pokaleczony cugang stawał się okazją do wyzywania się, wypróbowania różnych metod bicia i mordowania.

Drugim więźniem, który w pierwszym dniu pobytu w baraku podniósł miotłę i zamiatał, był również młody Polak, chłopiec z Łodzi. Włocha, któremu wręczono trzecią miotłę, już w dniu następnym wykończył Vogel. Po udanym sprzątaniu w pierwszym dniu rola ta przypadła nam na dni następne. Za tę

pracę przy śniadaniu otrzymaliśmy tak zwaną „Zulagę”, to jest kromeczkę chleba z margaryną. Wydawało się nam, że jesteśmy lepiej traktowani przez sztabowego, niż inni więźniowie.

Codziennie po rannym apelu wyczytywano pewną ilość numerów i ci więźniowie opuszczali blok 19. Nikt z nas nie wiedział, dokąd ich zabierano: czy do innych bloków, czy na transport do innych obozów, czy do krematorium. 14 lub 15 grudnia odeszła ostatnia grupa więźniów z naszego bloku, a w niej wszyscy moi bliscy: brat Tadek, wujek Rudnik i inni. Czulem, że z bratem rozstajemy się już na zawsze. Było mi bardzo smutno. Ogarnęła mnie rozpacz. Głośne wołanie „los, los” sztabowego, przywołało mnie do twardej rzeczywistości. Sztabowy polecił nam mycie okien i sprzątanie wszystkich pomieszczeń z wyjątkiem tego, w którym mieściła się karna kompania Sonderkommando. W porze posiłków nosiliśmy z kuchni kotły z zupą dla Vogla, sztabowego i Cygana. Nowego „cugangu” nie było długi czas. Byliśmy zaskoczeni zupełnie innym traktowaniem niż wtedy, gdy byliśmy z całą grupą. Wydawało się nam, że ani sztabowy, ani blokowy nie zwracają na nas uwagi, gdy tylko wykonujemy solidnie polecenia.

Że byliśmy w błędzie, przekonaliśmy się bardzo szybko. Gdy myśleliśmy, że Vogel wyszedł z bloku i nikt nas nie obserwuje, usiedliśmy pod oknem, które myśleliśmy, i zaczęliśmy rozmawiać po polsku. Nagle, jak z nieba, obok nas zjawił się Vogel. Zaatakował nas z furją. Wyzywając od śmierdzących leni i świń, kopał i bił bykowcem, gdzie popadło. Trwało to wprawdzie bardzo krótko, lecz nauczka była bardzo bolesna. Odtąd wiedzieliśmy, że można cały dzień myć jedno okno (tak też robiliśmy), ale nie wolno nawet na chwilę przerwać pracy. Doszliśmy szybko do dużej wprawy w jej pozorowaniu. Wykonywaliśmy przez cały dzień to, co można było zrobić w dwie godziny.

Spaliśmy na dużej sali na gołej podłodze i marzli okrutnie. Nie mieliśmy sienników, a każdy miał tylko jeden koc. Nie wolno było sypiać razem, choć wtedy byłoby o wiele cieplej. Dopiero po paru dniach wydał nam sztabowy sienniki i po kawałku zniszczonej szmaty. Miał to być ręcznik. Byliśmy bardzo głodni, bo po wyjeździe ostatniej grupy nie dostawaliśmy dolewki. Ale jak na warunki obozowe nie było źle, funkcyjni nie przyczepiali się do nas wcale. Raz tylko, stojąc na apelu, słyszeliśmy jak jeden pytał drugiego, znacząco się uśmiechając, czyje to są „panienki”, jednak nic to nam nie mówiło. Między funkcyjnymi, którzy tylko na noc przychodzili do bloku, znalazło się kilku porządnym ludzi. Był takim na pewno vorarbeiter lub kapo, wysoki blondyn imieniem Staszek. Niestety nie znam jego numeru ani nazwiska. Rozmawiał z nami po polsku, więc chyba był Polakiem. Kilka razy po wieczornym apelu zaglądał do nas i pytał, czy nas ktoś nie zaczepia, nie przychodzi w nocy i nie próbuje wyciągnąć z sali. Nie wiedzieliśmy, o co chodzi.

Wnet przekonaliśmy się, że nie były to płonne obawy. Po wieczornym apelu, gdy w sztabówce nie było Torza, przyszedł do nas funkcyjny, gruby Jurek, (chyba vorarbeiter) razem z Cyganem i zaczęli nas namawiać, żebyśmy z nimi poszli do świniarni. Tam można dobrze zjeść, napić się i zabawić. Znowu nie wiedzieliśmy, o co chodzi, z jednej strony kusząca oferta, z drugiej strach przed nimi. Widzieliśmy przecież, jak obaj maltretowali cugangów. Po dłuższym przekonywaniu postanowiliśmy mimo obaw pójść z nimi. Pierwszy wyszedł Cygan z Mietkiem, a po nich Jurek ze mną. Gdy już wychodziliśmy z bloku, Jurek zauważył nadchodzącego Vogla i natychmiast zawrócił. Było to już po pierwszym gongu i nie wolno było opuszczać bloków. Po paru minutach Jurek chciał, żebyśmy znowu wyszli. Ja, bojąc się raczej spotkania z Voglem, kategorycznie odmówiłem. W czasie naszej sprzeczki na salę wszedł Staszek. Gdy tylko zorientował się, o co chodzi, doskoczył do Jurka i powiedział coś w tym rodzaju: Ty, panienka, jak ja ci poszukam frajera, to ty z SK (karna kompania) nie wyjdiesz. Dalsza rozmowa była ostra i wulgarna. Dopiero wtedy zrozumiałem, że Jurek, będąc sam „panienką”, chciał sobie taką znaleźć. Był wściekły na Staszka, że się do tego wtrąca, ale widziałem, że się go boi i nie może mu nic zrobić. Klóćąc się, wyszli z sali. Po kilkunastu minutach przybiegł Mietek. Był podrapany na twarzy, pobity i bardzo zdenerwowany. Trząsał się cały jak w febrze i powtarzał w kółko:

– A to świniarnia, pederasta, drań, bydlę, zwierzę i inne jeszcze obozowe wyzwiska pod adresem Cygana. Okazało się, że Cygan zaprowadził go do jakiejś szopy, gdzie odbywały się męskie orgie. Dał mu do picia śmierdzący samogon, kazał mu się rozebrać i chciał się z nim zabawić. Chłopiec ten nie chciał się zgodzić i bronił się zaciekłe. Zaczęła się szarpanina. Naraziło to Cygana na kpiny kumpli, przychodzących tu parami w wiadomych celach. Szarpanina trwała do ostatniego gongu. Zawiedziony i zawstydzony Cygan jeszcze w drodze powrotnej bił i szarpał biednego chłopca. Na drugi dzień próbował udobruchać Mietka. Zaraz po śniadaniu przyniósł mu kawałek chleba i duży kawałek „wurstu” (kielbasy). Mietek odmówił i nic nie przyjął. Wieczorem, gdy Cygan znowu próbował go wyciągnąć z sali, nadszedł Vogel i razem gdzieś poszli.

Sądziliśmy, że na tym skończyły się te zaloty. Niestety, myliliśmy się bardzo. Rację miał Staszek, gdy mówił, że marny los czeka tego, który ulegnie, jak i tego, co się sprzeciwi. Tak jednego jak i drugiego będą się starali pozbyć, żeby w razie wpadki nie było świadka tych orgii, bo homoseksualizm był w obozie surowo karany. Już następnego dnia chłopiec został zabrany z bloku. Nie wiedziałem gdzie, czy na inny blok, czy do któregoś z podobozów. Po wieczornym apelu do sali zajrzał Cygan i udając zdziwionego zapytał, gdzie jest Mietek. Wtedy zrozumiałem prawdę: była to na pewno zemsta za

niespełnioną zachciankę, wstyd, stratę czasu i samogonu. A może Mietek został przez kogoś wyratowany z opresji, o czym ani ja, ani Cygan nie wiedzieliśmy. Nigdy go więcej nie zobaczyłem.

Przez następne dni już sam wykonywałem tę samą pracę, mycie podłóg i okien, palenie w piecu w sztubie Vogla i dzwiganie kotłów z kuchni. Najbardziej bałem się wieczorów, gdy wszyscy funkcyjni wracali po pracy do bloku. Zdważałem wtedy czujność, żeby nie podpaść, nie popełnić jakiegoś błędu i nie narazić się któremuś z nich. Z wyjątkiem Staszka bałem się wszystkich. Szczególnie blokowego Vogla, kapo karnej kompanii, kapo kamieniołomów, Cygana i grubego Jurka. Ten ostatni zmienił swoje postępowanie wobec mnie. Dawał mi dodatkowe jedzenie i to nawet dużo. Nie mogłem zrozumieć, skąd on to bierze, na pewno bezpośrednio z kuchni, bo przecież nie było nowego cugangu. Jedzenie brałem, lecz kolejna próba wyciągnięcia mnie do świniami nie powiodła się. Liczyłem na pomoc Staszka, a Jurek panicznie się go bał. Obawiałem się, że będzie się chciał na mnie zemścić, ale nie takiego nie nastąpiło, natomiast podpadłem po raz drugi Voglowi.

Pewnego dnia, gdy Vogel wyszedł z bloku, bo był alarm pożarowy, sprzątałem jego salę. Zobaczyłem w drzwiach do karnej kompanii klucz, odważyłem się zajrzeć do środka. Lekko uchyliłem drzwi i między rzędami łóżek zobaczyłem dwóch „muzułmanów”. Byli zupełnie wyczerpani. Jeden z nich, wysoki, dobrze zbudowany miał podciągniętą nogawkę u spodni. Na nodze poniżej kolana zobaczyłem dużą, ropiejącą ranę, była głęboka i widać było kawałek kości goleniowej. Obok stał więzień, w którym rozpoznałem generała Ignacego Ledóchowskiego, znanego mi z czasów konspiracji. Jak się później dowiedziałem, ten pierwszy to był książę Krzysztof Radziwiłł. Gdy zamykałem już drzwi, usłyszałem błagalny szept: „Jeść”.

Przestraszony szybko przekręciłem klucz. Na korytarzu, między jedną salą a drugą, przed umywalnią stał kocioł z resztką zupy. Mimo paralizującego ruchu strachu nie mogłem się oprzeć ich prośbie. Chociaż nieraz byłem bardzo głodny, nigdy nie odważyłem się korzystać z tej okazji i brać tej zupy dla siebie. Tym razem muszę to zrobić – pomyślałem. Rozejrzałem się wkoło, nie było nikogo. Przełamałem strach, otworzyłem ponownie drzwi i szybko napelniłem podane miski. Pełen obaw, drżąc cały ze strachu, czekałem, co się stanie. Nie stało się nic. Dziwiłem się później, że ani Vogel, ani też Torz nie zauważyli, że ktoś brał zupę z kotła. Jeszcze raz lub dwa udało mi się coś im podać, ale tylko wodę. Zupy w kotle nie było. Wymiana misek odbywała się bez żadnych słów, błyskawicznie. Nie mając nowych cugangów, Vogel coraz częściej wychodził z bloku, zostawiając klucz w drzwiach. Znow w kotle pojawiła się zupa, na nowo odbywała się wymiana misek.

Aż zmniejszyłem czujność i wpadłem. Nie wolno było przebywać w pobliżu drzwi i okien sali karnej kompanii, za to przewinienie można było się tam znaleźć samemu. Całe szczęście, że już zamknąłem drzwi, gdy wszedł Vogel i Lageraltester nr 4. Natychmiast przystąpił do wymierzania kary: uderzenie w głowę, w brzuch, znow w głowę, a gdy upadłem, kilka kopniaków. Lageraltester początkowo nie reagował, ale gdy upadłem i Vogel zaczął mnie kopać, stanowczym głosem powiedział: „genug”. Zdziwiony Vogel popatrzył na swojego przełożonego i dał mi spokój. Rozmawiając głośno i pokazując na mnie, wyszli z celi. Czekając na powrót Vogla, trząsałem się ze strachu, spodziewając się najgorszego, dalszego bicia lub karnej kompanii, ten jednak po powrocie zachowywał się, jak gdyby nic się nie stało, a przecież takich przestępstw nigdy nie darował. Może sprawę tak pomyślnie dla mnie załatwił Lageraltester? Obiecowałem sobie, że już nigdy nie zbliżę się do drzwi karnej kompanii.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. W wigilię, po wieczornym apelu, na pustej w tym dniu sali cugangowej, funkcyjni ustawili z desek coś, co miało zastąpić stół. Przykryli go ręcznikami i, o dziwo, postawili na nim prawdziwą choineczkę. Ktoś pod pasiakiem przyniósł z kamieniołomu małego świerczka. Po kolacji wszyscy z wyjątkiem Vogla, Cygana i kapa z SK, zebrali się przy stole wigilijnym. Ktoś kupił w kantynie kilkanaście kawałeczków czerwonych buraków, były również małe plasterki wurstu i kromeczki chleba, które służyły za opłatek. Smutna to była wigilia. Daleko od bliskich, nie wiedząc co się dzieje z bratem, co w kraju z resztą rodziny, nie cieszyłem się, chociaż panował odświętny nastrój. Ktoś – oczywiście po niemiecku – złożył życzenia. Były one bardzo krótkie: przeżyć obóz i wyjść na wolność. W różnych językach śpiewano koledy. Najpierw całkiem głośno po niemiecku, później ciszej w innych językach. Śpiewaliśmy również po polsku. Poprawił mi się nastrój, chociaż w tym towarzystwie czułem się bardzo samotnie i obco. Popłynęły ze wzruszenia łzy. Z obecnych nie bałem się tylko Staszka, uważałem go za uczciwego człowieka, tylko na jego pomoc i ochronę mogłem liczyć. Nadal nie wiedziałem, gdzie był vorarbeiterem i jak się odnosił do innych więźniów. Również sztabowy naszej sali, Marian Torz, nigdy mnie nie uderzył, chociaż widziałem, jak znęcał się nad innymi więźniami. Teraz po polsku wypytywał, co się dzieje w kraju, do którego nie przyznawał się dotąd. Po jakimś czasie przy stole zostało tylko paru funkcyjnych. Jurek wyjął z kieszeni butelkę samogonu. Każdemu, oprócz mnie, dał wypić po łyku. Podobno resztę zostawiono dla Vogla, ten jednak się nie pokazał, przyszedł natomiast kompletnie pijany Cygan. Wymyślając ordynarnie przyczepił się do mnie. Próbował mnie całować i wyciągnąć do łazienki. Nie było wtedy Staszka na sali, a inni śmiali się i dogadywali, że znalazł sobie na święta nową panienkę. Ze wstrętem odepchnąłem go tak mocno, że aż upadł na podłogę. Wpadł w szal, zaczął mnie okładać rękami i groził, że mnie nauczy szanować

starszych więźniów. Razy nie były bolesne, lecz bałem się, że może się zemścić na mnie, jak na Mietku. W najtrudniejszym momencie nadszedł Staszek i wyrzucił Cygana z sali. Był jednak bardzo zdenerwowany i zmartwiony tym zajściem. Kazał mi bardzo uważać na Cygana.

W drugim dniu świąt Bożego Narodzenia nadszedł nowy transport: nieduży, może stu albo dwustu więźniów, przeważnie Polaków. Znow szalał Vogel i Cygan. Wstąpił w nich zły duch, bili i maltretowali biednych cugangów, tylko Torz jakby zmienił się na lepsze.

Słodki, mdły zapach palonych ciał i lecące z góry czarne płatki świadczyły, że krematorium pracuje całą parą. Teraz na bloku już nie byłem ostatnim przybyłym więźniem czyli cugangiem, więc nie byłem tak bardzo narażony na szykany. Wydawało mi się, że nawet Cygan o mnie zapomniał. Wśród przybyłych wyszukał sobie młodego, łagodnego jak dziewczynka chłopca, którym się zaopiekował. Już w trzecim dniu pobytu chłopiec był ubrany w ciepłą odzież i wysokie buty. Ale szczęście Cygana trwało krótko. Chłopiec został zabrany na blok młodzieżowy nr 22. Widocznie ktoś włączył się do tej sprawy, czyniąc Cyganowi wielką przykrość. Cygan był wściekły i wyżywał się okrutnie na cugangach. Pewnego dnia po wieczornym apelu, wywołano mnie przed blok. Czekają tam dwóch starszych stażem więźniów. Byli to Polacy z czerwonymi winklami. Wypytywali, jak się tutaj ze mną obchodzą i czy nie chciałbym odejść z tego bloku. Radość moja nie miała granic. Nareszcie wydam się z tego piekła. Powiedzieli, że w najbliższych dniach zostaną przeniesiony na blok 22.

Nie wiedziałem, że to spotkanie obserwował Cygan. Po chwili zawołał mnie, żebym zrobił porządek na korytarzu i w łazience. Gdy tam wszedłem, zobaczyłem jak znęcano się nad księdzem. Maltretowany nie reagował na obelgi, modlił się i trzymał się dzielnie. Powtarzał tylko „Boże, przebac”. Szybko cofnąłem się, chciałem wyjść. Nie spodziewałem się, że właśnie teraz miała nastąpić zemsta Cygana. Zatrzymał mnie, wręczył bykowiec i powiedział: A teraz pokażesz temu klesze, jak się tutaj bije. Nie zareagowałem na jego słowa. Wtedy Cygan zwrócił się do księdza, dał mu w rękę bykowiec i powiedział: – Niech ksiądz nauczy tego smarkacza, jak należy karcić niegrzeczne, nieposłuszne dzieci.

Oczywiście ksiądz odmówił i nie przyjął bykowca. Wtedy Cygan powiedział, że w takim razie on pokaże, jak to należy robić i zaczął mnie okładać. Biedny ksiądz, widząc, co się dzieje, zbliżył się do mnie i powiedział: Bij synu, w imię Boże. Nie miałem odwagi uderzyć niewinnego człowieka i to jeszcze księdza. Cyganowi asystowało kilku funkcyjnych, takich samych jak on, którzy śmiali się ze mnie, że boję się uderzyć takiego klechę, który wnet znajdzie się w krematorium. Widząc moją trudną sytuację, ksiądz powtórzył kilka razy: Bij, bij synu, nie będę cię za to winił, a Bóg ci przebaczy, bo inaczej to on cię zamorduje.

Nie wiedziałem, co mam robić. Na twarzy księdza widać było spokój, ale i bezgraniczne cierpienie. Postanowiłem podejść i upozorować uderzenie, ciosu jednak nie zadałem. Nie, nie mogłem tego zrobić, tak się poniżyć, choćby mnie czekało dalsze bicie lub nawet zamęczenie na śmierć. Ręka zatrzymała się w połowie drogi. Wybuchła salwa śmiechu. Ksiądz, nie zważając na nic, chwycił mnie w ramiona, mocno uściśnął i rzekł:

– Synu, synu mój.

Zaskoczony takim obrotem sprawy, wyśmiany przez kolegów Cygan, zaczął nas obu bić jakimś stylem od łopaty lub miotły. Każda moja próba ucieczki kończyła się podłożeniem nogi i zatrzymaniem przez któregoś z jego kompanów. Trzeba przyznać, że była to wyborowa grupa wyszkolona przez Vogla.

Jak na złość nie było w pobliżu Staszka, ani nawet Torza. W najbardziej krytycznym momencie wpadł do łazienki rozwścieczony Vogel. W jednej ręce trzymał jakieś zawiniątko, a w drugiej jak zwykle bykowiec. Dopadł Cygana i zaczął go okładać.

– Ty łobuzie, ty złodzieju, ja cię oduczę kraść ty, ty Dreck Aszloch – wykrzykiwał wulgarne słowa, nie przestając go bić. Bił i kopał z taką samą wprawą, jak to przed chwilą czynił Cygan. Patrzyliśmy na to z podziwem i satysfakcją. Cygan próbował coś tłumaczyć wypierał się że on nic nie ukradł, ale to jeszcze bardziej rozwścieczyło Vogla. Świadkowie zajścia jeden po drugim, cichaczem opuszczali umywalnię. Dawałem również księdzu znaki, żeby wyszedł, on jednak albo nie widział, albo nie wiedział o co chodzi, bo pozostał tam razem z Voglem i Cyganem. Widząc, że na nic się zdają moje znaki, wyszedłem. Przewinienie Cygana uratowało mnie od dalszego bicia, a może i śmierci. Rozkoszowałem się słysząc wrzaski bitego Cygana. Często tak w obozie bywało, role się zmieniały. Dopiero co bijący za chwilę był sam bity. Dowiedziałem się od innych, o co chodziło Voriowi dlaczego w ostatnich dniach był bardzo poddenerwowany gmerał w rzeczach i siennikach funkcyjnych. Czegoś szukał i znalazł to u Cygana. Podobno chodziło o złoto. Po gongu zajrzałem do umywalni. Na posadzce leżało zmasakrowane ciało księdza. Nie żył, miał powybijane zęby. A więc dlatego jego właśnie wybrał sobie Cygan... Ale i Vogla spotkała przykra niespodzianka. W następnym dniu

na ranny apel przybył już nasz nowy Blockfurer. Kiedy Vogel po zameldowaniu stanu dodał, jak to czynił wiele razy: „und em m Abort” usłyszał od esesmana groźnie wypowiedziane słowa: Powtórz to. Wtedy pokornie zameldował: „I jeden zmarły w łazience. Od tego dnia już prawidłowo składał raport. Nie cieszył się dobrą opinią u tego blockfuhrera. Już po paru dniach Vogel i Cygan zachowywali się wobec siebie, jak gdyby się nic nie stało. Widocznie Vogel nie tylko odzyskał swoją stratę, lecz jeszcze



złote zęby księdza. Mocno pobity Cygan był przedmiotem drwin ze strony innych funkcyjnych którzy widzieli zajście z księdzem. Śmiali się, że go tak urządził święty Archanioł, broniący księdza. Mimo że po otrzymanych razach czułem się bardzo źle, starałem się swoje obowiązki wykonywać bardzo dokładnie. Znow stałem się czujny, jak tropiony zwierz. Dzień przeszedł spokojnie. Wieczorem, gdy Staszewi opowiedziałem, jakie zdarzenie miał Cygan z Voglem, ten tylko uśmiechnął się znacząco. Po rannym apelu Vogel polecił mi umyć okna i futryny na zewnątrz. Był silny mróz. Woda zamarała na szybach i pokaleczone ręce sztywniały z zimna. Starałem się z największym trudem, przełamując ból obitego ciała, wykonać pracę dokładnie. Nie wiedziałem, że dyskretnie obserwuje mnie Vogel. Gdy skończyłem mycie jednego okna i zabierałem się do następnych, zawołał mnie do baraku.

– Du spitzbube, aber bist du stark (ty szelmo, hultaju, ale jesteś twardy). Teraz możesz się ogrzać i wypocząć. Sztubowy da ci później ciepłe buty i lepsze ubranie.

Bardzo się wtedy przestraszyłem: Co to ma znaczyć, skąd nagle Vogel taki troskliwy? Czyżby to był kolejny pederasta i chciał mnie do siebie dobrze nastawić? Było to bardzo podejrzane. Wprawdzie moje buty i ubranie były w opłakanym stanie i o wiele za duże, ale to żaden powód do otrzymania innych. Miałem je od chwili przyjscia do obozu. Chociaż byłem przy wydawaniu odzieży dla nowego cugangu i mogłem sobie wybrać o wiele lepsze, nie zrobiłem tego. Wszyscy funkcyjni, a szczególnie kalifaktorzy (więźniowie sprzątający bloki esesmanów) chodzili dobrze ubrani, nie mówiąc już o „panienkach”, dla których opiekunowie wystarali się o wszystko, co najlepsze. Miał rację Staszek gdy mówił, że będzie mi tutaj bardzo ciężko i mimo lekkiej pracy niebezpieczniej, niż na innych blokach. Mówił również, że homoseksualiści, którzy wykorzystywali młodych chłopców, początkowo ich dokarmiali i dobrze ubierali, lecz gdy sobie znaleźli inną panienkę, puszczali ofiarę kantem, a później likwidowali niewygodnego świadka. Czyżbym się nagle spodobał Voglowi? To byłoby najgorsze z najgorszych, bo o ile z innymi jako tako sobie poradziłem, to jeżeli chodzi o Vogla byłbym na straconej pozycji. Ale o Voglu nic nie mówiono na ten temat. Jego hobby to wyszukane znęcanie się nad więźniami i jego bura kotka. Całymi wieczorami bawił się z tą kocicą, głaskał ją i pieścił jak ukochaną dziewczynę. Kocica była wyjątkowo złośliwa, tak jak jej właściciel, i biada temu, kto ją przypadkowo potrafił lub nadepnął. Czasem, nie wiadomo czemu, kocica zaczynała głośno miauczeć i wtedy ten, który był najbliższym narażał się Voglowi. Ledwie się trochę ogrzałem, gdy Vogel ostrym głosem polecił mi wrócić do pracy. Co miała znaczyć ta jego chwila słabości dowiedziałem się dopiero przy kolacji: w tym dniu otrzymał list od matki.

Następny dzień rozpoczął się spokojnie. Gdy rozluźniony zmniejszyłem czujność, nastąpiła katastrofa. Po zjedzeniu swojej zupy ktoś zawołał mnie na dolewkę. Przy kotle stał jeden z kumpli Cygana, ale na ten fakt nie zwróciłem uwagi. Zadowolony z repety, wszedłem z miską w ręku na salę. Wtedy ktoś podłożył mi nogę, a inny popchnął z tyłu. Nie utrzymałem równowagi. Jak długi runąłem na podłogę, wylewając całą zawartość miski. Najgorsze było to, że wtedy przeklęta kocica zaczęła przeraźliwie piszczeć. Że jej nawet nie dotknąłem, jestem przekonany do dnia dzisiejszego. Na pewno zrobił to za mnie celowo ktoś inny. Dopadł mnie Vogel, przygniół mi butem głowę do podłogi, bił i krzyczał głośno: Fresse, fresse du Schweine (żryj, żryj ty świnio). Poczulem, jak coś chrupnęło mi w kręgosłupie, zrobiło mi się nagle gorąco i słabo. Vogel nadal deptał po mnie i wrzeszczał: „Fresse, fresse”.

Obawiając się o głowę, nie podnosiłem jej i językiem ze śmierdzącej, brudnej podłogi zlizywałem zupę. „Schnell, schnell” wrzeszczał Vogel. Wkoło zebrała się grupka funkcyjnych, którzy w milczeniu, spokojnie śledzili przebieg wydarzeń. Jedynie Cygan wraz z jednym jego kumplem, dogadywali i manifestowali swoją radość. Nagle Vogel przestał mnie przygniatać butem do podłogi i – przyglądając się, jak szybko znika zlizywana zupa – wybuchnął głośnym śmiechem.

– Mensch, Mensch aber das ist neue Sport (Człowieku, człowieku, przecież to jest nowy sport). Patrzcie, jak to sprawnie robi ten Spitzbube. To się wam może przydać, bo następnym razem potrenuje jeden z was. Zobaczymy, co pokażecie.

Kątem oka zauważyłem, jak wtedy zrzędnął Cyganowi mina i wyszedł z sali. Z trudem próbowałem wstać. Znow ta przeklęta kocica zaczęła głośno miauczeć, tym razem to chyba ja ją nadepnąłem. Tego już Voglowi było za dużo. Z wściekłością zaczął mnie bić po twarzy, polała się krew, kapiąc na podłogę. Widocznie to jeszcze bardziej go rozżołościło. Cios za ciosem, w głowę i brzuch. Upadłem, posypały się kopniaki. Obawiałem się, że swoim wypróbowanym sposobem lada moment skoczy mi na klatkę piersiową, zacznie po niej skakać i połamie ją. Nagle usłyszałem cichy szept Staszka – Przepróż go, powiedz, że bardzo lubisz tego kotka. Jak umiałem, spróbowałem to zrobić. Przecież niejednokrotnie widział Vogel, jak nieufna wobec wszystkich, wstrętna kotka, podchodziła do mnie i łąsiła się. To poskutkowało, a może Vogel sądził, że to już wystarczy, żebym wyzionął ducha, że mnie już całkowicie wykończył. Przestał bić i kopać. Próbowałem się podnieść, lecz mimo kilkakrotnych prób nie udało mi się to. Wszędzie czułem okropny ból. Najbardziej bolały mnie plecy, nerki i kręgosłup oraz obita i pokrwawiona głowa. Aż dziw bierze, że nie straciłem zębów. Były wszystkie, ale ledwie trzymały się w pokrwawionych dziąsłach. Przestałem jęczeć i starałem się nie ruszać. Vogel kazał pozmywać krew,

resztki zupy z podłogi i wyrzucić mnie do łazienki. Jak worek, za ręce i nogi, rzucono mnie na posadzkę. Pod wpływem zimna i wilgoci piekielny ból jakby zelżał, nawet udało mi się podnieść i przesunąć pod ścianę, o którą się oparłem. Po chwili do łazienki zajrzał Staszek. – Ty biedaku, żyjesz jeszcze? – zapytał zdziwiony. – Jak to może być, że Vogel cię nie wykończył?

Takie przypadki nigdy mu się nie zdarzały. Jak Vogel kogoś powalił na ziemię i zaczął mu skakać po piersiach, to ten zawsze musiał zginąć. Z pomocą kogoś, chyba grubego Jurka, Staszek przeniósł mnie na salę cugangów. Widok mój na dopiero przybyłych więźniach zrobił wstrząsające wrażenie. W oczach ich widziałem lęk, litość, ale również wstręt i obrzydzenie. Za wiedzą sztabowego Staszek sprowadził pomoc. Jakiś lekarz lub felczer po obmyciu ran zbadał mnie i oświadczył, że o ile nie jest uszkodzony kręgosłup, to może będę żył, obawia się jednak czy potrafię ustać na rannym apelu. Wiedział dobrze, że z łazienki zabierano do krematorium nie tylko trupy, lecz i tych, którzy zdaniem funkcyjnych znajdowali się w stanie agonalnym. Uratować się mogą tylko, jeżeli ustoję na rannym apelu. Jeżeli, nie licząc stanu, Vogel zamelduje, że jeden zmarły w łazience, a stan nie będzie się zgadzał i niedoszła ofiara będzie żyła, zaraz po apelu dokończy dzieła. Noc była okropna, było piekielnie zimno, – piekły rany, chciało mi się płakać, pójść na druty i popełnić samobójstwo. Przed samym apelem przyszedł po mnie Jurek. Było to dla mnie dużym zaskoczeniem i napawało nowym lękiem. Powiedział, że przyszedł z polecenia Staszka. Mimo to obawiałem się, że teraz wykorzysta okazję, by się zemścić za mój sprzeciw pójścia z nim do świniami.

Tak się jednak nie stało. Znów przekonałem się, że w obozie działy się w tym czasie dziwne rzeczy. Do niedawna łotr i morderca, nagle stawał się człowiekiem. Ale zdarzało się też odwrotnie – spokojny więzień, gdy awansował na jakąś najmniejszą nawet funkcję, stawał się tyranem. Dotyczyło to przeważnie więźniów bez żadnej litery na winklu, a więc Niemców. Jurek pomógł mi się podnieść i podpierając dyskretnie, zaprowadził na apel. Zauważyłem, z jakim podziwem, a nawet uznaniem, patrzyli na mnie nawet nieprzychylni dotąd świadkowie wczorajszego zajścia. Już na apelu zrozumiałem, czemu przyszedł po mnie Jurek, a nie sam Staszek, który musiał stać ze swoim komandem i zaraz po apelu iść z nim razem do pracy. Na moje szczęście przed zameldowaniem blokowy policzył stan więźniów. Gdy mnie zobaczył, był bardzo zdziwiony. Przecież gdyby nie liczył, jak już niejednokrotnie się zdarzało, zameldowałby niezgodny stan i dodałby na końcu raportu: „und Ein in Abort”. Chyba nawet zauważył, że podtrzymuje mnie Jurek. Apel trwał dosyć krótko.

Po apelu podawano przez głośniki różne komunikaty. Wezwania na pocztę po odbiór listów lub paczek należały już do rzadkości, nie były groźne wezwania do Schreibstuby, lecz biada temu, kto został wezwany do Politische Abteilung – albo już nigdy nie wracał na blok, albo też przynoszono do krematorium zmasakrowane zwłoki. Zdarzały się też przypadki, ale bardzo rzadkie, że więźnia zwalniano i kierowano prosto na front wschodni, lecz dotyczyło to tylko Niemców. Czekając z utęsknieniem końca komunikatów, usłyszałem słowa: „Heftling nr 85357 zgłosił się do Politische Abteilung”. Struchlałem, to przecież ja. To już koniec – pomyślałem. Jak wałą się nieszczęścia, to jedno za drugim. Rację mieli ci, co mówili, że jak raz podpadniesz, to czeka cię komin krematorium. Opuściły mnie resztki sił. Przestałem wierzyć w jakikolwiek ratunek – tam już nie będzie żadnych cudów.

Jurek, słysząc komunikat, przestał mnie podtrzymywać i szybko się oddalił. Staszek, wychodząc ze swoim komandem, przesłał mi dyskretnie, smutne pożegnanie. Czekając na blokowego, który miał mnie doprowadzić do bramy, zostałem sam przed blokiem. Jak to niejednokrotnie robili mużłanie, usiadłem na mokrej ziemi, lekko przysypanej śniegiem. Czekałem na wszystko obojętny, nie myśląc, co się ma stać później. Przyszedł Vogel, kazał mi wstać i iść za sobą. Popędzając, abym szybciej szedł, kilka razy uderzył mnie w twarz. Odnowiły się zakrzepłe rany, a z nosa poląła się krew, którą rozmasałem odruchowo po całej twarzy. Wyglądałem jak upiór. Szedłem, a raczej wlokłem się z najwyższym trudem, obojętny na wszystko. Pewny pochwały, że mnie tak surowo potraktował, szedł Vogel. Cały czas mówił coś do mnie, czego ja nie rozumiałem, bo w głowie miałem wielki szum. Jak gdyby się usprawiedliwiając, mówił o karze, która mnie spotkała, że jestem młody i zdrowy, więc jeszcze mogłem pożyć, ale teraz już wszystko przepadło. Sądził, że jak przyprowadzi tak ukaranego – oczywiście zgodnie z regulaminem – więźnia, to podbuduje swoją pozycję u esesmanów. Ten tyran wierzył, że Niemcy wojnę wygrają, a on za zasługi w uśmiercaniu wrogów Rzeszy wyjdzie na wolność. Tym się właśnie kierując, znęcał się i mordował bez litości. Nie przypadkowo przecież przydzielono mu blok karnej kompanii, Sonderkommando i cugangów. Nie pamiętam dokładnie, kiedy i gdzie dołączył do nas post. Z politowaniem patrzył na mnie i zwracał uwagę, gdy Vogel mnie potrącał. Nareszcie dotarliśmy do celu, Vogel wepchnął mnie do małego pomieszczenia i regulaminowo zameldował nasze przyjście. W pomieszczeniu znajdowało się dwóch esesmanów. Jeden z nich poszperał coś w papierach i wyciągnął list, a następnie jakąś kartotekę. W tym momencie stanął w drzwiach sąsiedniego pokoju wyższy rangą oficer. Uważnie popatrzył na mnie. Musiałem wyglądać okropnie. Podszedł bliżej i groźnie zapytał: Wer hat das gemacht? (Kto to zrobił?). Bojąc się Vogla, mimo ponownego zapytania, przezornie milczałem. Vogel powiedział: Natürlich ich (Naturalnie ja).

Wtedy stało się to, co chciałoby oglądać wielu bitych i poniewieranych przez Vogla więźniów. Pejczem czy bykowcem esesman uderzył Vogla. Wyzwał go przy tym od głupców i idiotów. Vogel chciał coś mówić, ale ten nie dał mu dojść do słowa, uderzył go jeszcze raz lub dwa i kazał wyjść z pomieszczenia. Pogroził mu jeszcze palcem i powiedział: Pass mai auf Vogel, pas mai auf (Uważaj Vogel, uważaj).

Po tych słowach wyszedł z pomieszczenia. Teraz to już całkiem zbaraniałem: Vogla biją za to, że mnie pobił. Czy to nie zakrawa na kawał sylwestrowy, jest przecież 31 grudnia? – pytałem sam siebie. Co to ma znaczyć? Żeby choć ze mną skończyli. Ale nic złego nie nastąpiło. Jeszcze bardziej zgłupiałem, gdy widząc, że się ślaniam na nogach, jeden z esesmanów pozwolił mi usiąść. Teraz – pomyślałem – to się tu dzieją rzeczy nie z tego świata. Może wojna się skończyła – myślałem dalej. Chyba że jestem już całkiem kaput i mam jakieś przywidzenia. Ale to była rzeczywistość.

Zaczęło się normalne przesłuchanie: numer więźnia, nazwisko, imię, data i miejsce urodzenia. Później pytanie, którego oczekiwałem ze strachem: za co zostałem zatrzymany? Widząc, że obok kartoteki, którą wypełniano podczas przyścia do obozu, nie mają żadnych innych papierów, bez namysłu powiedziałem, że nie wiem. Mówiłem, że podczas łapanki szedłem z bratem do sklepu i zostaliśmy zatrzymani. Niemcy, nie mogąc tego zrozumieć, kilkakrotnie zadawali mi to pytanie. Odpowiadałem to samo. Bojąc się, że z powodu mojego kalekiego języka niemieckiego nigdy tego nie zrozumieją, spróbowałem inaczej: narysowałem kółko, w nim kropkę i strzałkę w kierunku środka i powiedziałem: Wir gehen hier und darm.

Długo nad tym myśleli aż machnęli ręką i dali temu spokój. Jeden z nich pokazał mi z daleka trzymany w ręce list i zapytał, czy znam to pismo. Od razu poznałem. Było to pismo siostry Eli, ps. „Strzecha”. Nawet z daleka odczytałem początek: „An allen...” (Do wszystkich komendantów obozów koncentracyjnych w Wielkiej Rzeszy). List pisany był w języku niemieckim. Siostra pisała, że z niewiadomych powodów zostaliśmy zatrzymani i wywiezieni w nieznanym kierunku i prosi o powiadomienie, czy nie znajdujemy się w tym obozie. Na leżącej obok kopercie było widać bardzo dużo pieczętek. Świadczyło to o długiej drodze, jaką przebył list. Wysłany z kraju najpierw trafił do Berlina, a następnie wędrował od obozu do obozu. Widząc z daleka czerwony krzyż, pomyliłem znak Czerwonego Krzyża z godłem Szwajcarii, długo jeszcze sądziłem, że list dotarł do obozu przez Szwajcarię. Była inna przyczyna, że list dotarł aż tutaj. Na kopercie wypisane było dużymi literami, podkreślone czerwonym ołówkiem „Grossdeutschland”. Może to właśnie dlatego nie trafił do kosza jak wiele takich listów, a może Niemcy w obliczu klęski zaczęli już myśleć o poprawie swojej złej reputacji. Tak czy owak miałem szalone szczęście, że taki przypadek właśnie mnie się przydarzył.

Oczywiście, na ich pytanie odpowiedziałem, że list jest od mojej siostry. Podano mi kartkę papieru i kazano napisać po niemiecku kilka słów. Napisałem, co mi podyktowano, chociaż nie byłem pewien czy poprawnie. Esesman pokręcił głową, zabrał moją kartkę i wyszedł do pomieszczenia swojego szefa. Gdy wrócił zapytał:

– Bist du Vblksdeutsch? (Czy jesteś folksdojczem). Odpowiedziałem: Nein.

– A twoi rodzice, ojciec, matka, dziadek, babcia? – pytał dalej. Na wszystkie pytania odpowiadałem zgodnie z prawdą: „Nein, nein” – Warum nein? – zapytał.

– Ich weiss nicht (Nie wiem) – odpowiedziałem.

Wtedy zapytał, skąd moja siostra i ja umiemy pisać po niemiecku. Nie było dla nich zaskoczeniem, że trochę znam język niemiecki, bo w obozie oficjalnie wolno było rozmawiać tylko po niemiecku, ale skąd siostra i ja umiemy pisać? Dlatego dopytywali się uparcie gdzie się nauczyłem niemieckiego. Bez namysłu odpowiedziałem, że w szkole.

– A gdzie to było, kim są twoi rodzice? – pytali dalej. Gdy im na te pytania odpowiedziałem, pytali dalej. – Gdzie to jest „Lipica”, gdzie jest „Bognia”?

Gdy usłyszeli, że Lipnica to wioska, a rodzice są rolnikami, nie uwierzyli, że w ciemnej Polsce na wsi, syn rolnika uczył się języka niemieckiego. Zorientowałem się, że może być źle i trzeba wymyślić coś bardziej przekonującego. Powiedziałem, że w czasie pierwszej wojny światowej mój ojciec służył w armii austriackiej i umiał po niemiecku, a ja od niego nauczyłem się mówić, a pisać od siostry, która uczyła się w szkole średniej.

– Służył w armii niemieckiej – sprostował jeden z nich.

– Nie, w armii austriackiej – powtórzyłem.

– Nein – krzyknął znów – w armii niemieckiej.

Przestałem oponować. Znów wyszedł do sąsiedniego pomieszczenia. – Hast du Angst? (Czy się boisz?) – zapytał pozostały ze mną esesman. Mimo że bardzo się bałem i chociaż zachowanie ich było zaskakujące, nawet niewyobrażalne jak na obozowe warunki i spodziewałem się najgorszego, odpowiedziałem stanowczo: „Nein”. Po chwili wyszedł z pokoju szefa ten drugi esesman i zapytał mnie, czy posiadam jakieś talony, czy coś podobnego. Nie mogłem tego zrozumieć. Nie mogąc się ze mną dogadać machnął ręką, podał mi kartkę pocztową i powiedział, żebym napisał do rodziny. Jak umiałem napisałem kilka słów. Odbierając ją esesman powiedział przy tym coś o niemieckim porządku. Kartka doszła do adresata i posiadam ją jeszcze do dzisiaj.

Kochana „Strzecho”, pisząc ten list, który dotarł aż tutaj, nie zdawałaś sobie sprawy, że uratował mi życie, a na pewno zasadniczo je zmienił. Nadszedł w najbardziej krytycznym momencie. Trafił tam, gdzie trzeba i miał wielki wpływ na moje dalsze losy.

Kazano mi wyjść. Nie mogłem uwierzyć, że to już koniec pobytu w wydziale politycznym. Gdy wychodziłem, stanął za mną jeden z esesmanów i – małpując swojego szefa – powtórzył kilkakrotnie:

– Pass mai auf, pass mai auf, Vogel – i znów pogroził palcem za szokowanemu Voglowi.

Byłem jak z waty. Olbrzymie napięcie nerwowe nagle przeszło. Robiłem wrażenie, że się nie boję Vogla i robiąc dobrą minę, powoli wlokłem się za nim w stronę naszego baraku. Miał na twarzy wyraźnie widoczny siniec. Ponury, szedł nie mówiąc mi, w końcu nie wytrzymał i spokojnym głosem zapytał, po co mnie tam wzywano. Nie wiedziałem co mam powiedzieć. Milczałem przez chwilę i zastanawiałem się. Gdy zapytał drugi raz powiedziałem, że w najbliższym czasie mam wyjść na wolność. Wywarło to na nim olbrzymie wrażenie:

– Mensch, Mensch hast du wieder Gluck, viel Gluck – powiedział. Czy ty wiesz kto to był? To był sam szef.

Nigdy nie dowiedziałem się, co to był za szef. Nie reagowałem na dalsze jego próby wciągnięcia mnie do rozmowy, chciałem jak najszybciej znaleźć się na bloku. Wszedłem na salę cugangów i zupełnie wyczerpany położyłem się w kącie na swoim miejscu. Ani sztabowy, ani blokowy nie zareagowali na moje postępowanie. Szybko zasnąłem. Ponieważ nikt mnie nie zbudził, przespałem obiad. Wieczorem Vogel powiedział sztabowemu, któremu oficjalnie podlegałem, że od dzisiaj będę spać po drugiej stronie bloku, razem z funkcyjnymi. Kazał mi przenieść siennik i ułożyć tuż koło drzwi. Tutaj, w sali blokowego, było o wiele cieplej, bo paliło się w piecu. Gdy w przejściu spotkał mnie Torz, popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem. Powiedział coś w rodzaju „ho, ho, teraz to ty jesteś fisza, pewnie będziesz kapował. Tylko pamiętaj, że ja ci nigdy krzywdy nie zrobiłem. A co to się stało blokowemu w twarz?” – zapytał z drwiną w głosie.

Nie odpowiedziałem. Podczas kolacji Vogel kazał mi wydać repetę. Gdy chciałem się położyć na swoim miejscu, któryś z funkcyjnych powiedział: „Co tu robi to śmierdzące gówno, trzeba to ścierwo wyrzucić, żeby nie śmierdziało”.

Vogel natychmiast zareagował na te słowa, coś warknął i natręt uspokoił się. Fakt ten podzielał na pozostałych jak zimny prysznic. Przecież wiedzieli, gdzie byłem wzywany i że wróciłem. Nie mogli zrozumieć, jak to się stało, że wróciłem cały, a Vogel, który wczoraj chciał mnie zabić, dzisiaj tak ze mną postępuje, jak gdyby się mnie bał. Sam fakt przeniesienia mojego siennika na tę salę już im się wydał podejrzany. Jurek zaczął coś przygadywać, mówił że szpicle tutaj długo nie pożyją. Udując pewnego siebie, nie reagowałem na wszelkie zaczepki. Czuję się coraz gorzej. Porozbijane w dniu wczorajszym, a ponownie poranione dzisiaj wargi i dziąsła bardzo spuchły, w ustach zbierała się ropa i skrzepy krwi.

Mimo że na nowym miejscu było bardzo wygodnie i ciepło, nie zasnąłem całą noc. Rano w umywalni opowiedziałem cicho Staszce, co zdarzyło się w dniu wczorajszym. Nie wierzył mi, był bardzo zaskoczony i zdziwiony. Przestrzegł mnie, żebym nikomu nie mówił o wpadce Vogla, gdyż byłoby to bardzo niebezpieczne. Po chwili namysłu dodał: Teraz możesz się nikogo nie bać i musisz im to śmiało okazywać, żeby to oni bali się ciebie.

Przez kilkanaście następnych dni prawie nic nie robiłem. Tak Torz, jak i Vogel udawali, że tego nie widzą. Traktowali mnie wszyscy jak morowe powietrze. Nikt się do mnie nie odzywał, nikt mi nie ufał. Najbardziej podejrzane było to, że Vogel obchodzi się ze mną jak z jajkiem. Nie patrzy czy coś robię, poleca wydawać repetę.

Przybyły nowe grupy więźniów. Traktowano ich bardzo źle. Często w łazience czekały trupy na transport do krematorium. Brakowało już nie tylko pasiaków, lecz nawet pomalowanych cywilnych ubrań. Przez kilka pierwszych dni pozostawali w tym, w czym przybyli.

Po paru dniach, po wieczornym apelu, wywołano mnie przed blok. Wyszedłem bardzo niechętnie. Poza tym, znając stosunek funkcyjnych do mnie, podejrzewałem jakiś podstęp. Obok drzwi czekał na mnie zupełnie mi nieznaną osobę. Upewniwszy się, że to o mnie chodzi, bez żadnej dyskusji wręczył mi mały pakiecik i powiedział: Masz to podać temu z raną na nodze, tylko uważaj, żebyś nie wpadł.

Byłem bardzo zdziwiony, skąd wiedział, że mam takie możliwości i dlaczego mi zaufał. Szybko się ulotnił, a ja schowałem przesyłkę pod pasiak i poszedłem spać. Długo w nocy myślałem, czy dobrze zrobiłem, że przyjąłem tę przesyłkę. A może to kolejny podstęp, może podając paczkę wpadnę i w ten sposób pozbędą się mnie z bloku? W następnym dniu nie miałem okazji dostarczenia przesyłki. Po rannym apelu powiedział mi Vogel, że otrzymałem paczkę. Był bardzo zdziwiony, że już po paru dniach od czasu wysłania kartki pocztowej nadeszła przesyłka. I ja byłem bardzo zaskoczony, a fakt ten dawał tak jemu jak i innym dużo do myślenia.

Obaj poszliśmy na pocztę. Bardzo się ucieszyłem, gdy zobaczyłem, że paczka jest dosyć duża, ale moja radość nie trwała długo. Najpierw zabrano z niej wszystką bieliznę, a następnie więcej niż połowę żywności. Jak na obozowe warunki były tam same rarytasy: wiejska sucha kiełbasa, boczek i cebula.

Wszystko zostało pocięte na maleńkie kawałeczki. Opakowanie musiało zostać na miejscu. Zamarłem z przerażenia, gdy wyjmowałem z pudełka żywność, wydawało mi się, że wśród pomiętych opakowań zauważyłem naszą konspiracyjną gazetkę „Sygnały”. Jak ona mogła się tutaj znaleźć? Może był to szalony pomysł przesłania do obozu aktualnych wiadomości, czy po prostu nieobliczalne przeoczenie, mogące pociągnąć za sobą tragiczne skutki? Nikt nie zwrócił uwagi na zmięta gazetę i razem z innym opakowaniem poszła do kosza. W drodze powrotnej dałem Voglowi kilka kawałeczków kielbasy. Jedząc, cmokał z uznaniem i powtarzał: Mensch, Mensch, co świadczyło, że mu bardzo smakuje. Postanowiłem, że poczęstuję również Staszka, chociaż on, po tym, co mnie spotkało, raczej się mnie bał. Przed samym obiadem Vogel gdzieś wyszedł. W pobliżu nie widziałem nikogo. Postanowiłem podać przesyłkę, którą otrzymałem wczoraj. Mimo że przyrzekłem sobie tego nigdy nie robić, przekręciłem klucz do karnej kompanii i szybko podałem zawiniątko. Więzień z raną na nodze wyglądał znacznie gorzej niż wtedy, gdy go widziałem ostatnio. Dla generała Ledóchowskiego podałem resztki cebuli i maleńki kawałeczek boczku. Wieczorem dałem Staszce odrobinę kielbasy. Nie wiem czemu, ale nie chciał tego przyjąć. Resztę żywności ukryłem pod siennikiem. Rano spotkało mnie wielkie rozczarowanie – pod siennikiem nic nie znalazłem. Przecież nikt nie widział, jak tam coś chowałem. Jak to się mogło stać, że wszystko zniknęło? Trudno, była to dobra nauczka na przyszłość. Masz coś, to zjedz zaraz, nigdy nie odkładaj na później.

Nazajutrz była niedziela, więc po obiedzie było wolne od pracy. Na ten dzień tygodnia czekali wszyscy z utęsknieniem. Można będzie nie tylko wypocząć, ale również poreperować buty i odzież. Tym razem nie było to możliwe. Odezwał się gong i spędzono nas na otoczony postami i esesmanami plac apelowy. Obozowa orkiestra grała jakieś marsze. Mieliśmy oglądać powrót uciekiniera do obozu. Pochwycony podczas ucieczki więzień wracał żywy lub martwy do swojego macierzystego obozu. Tutaj ubierano go „na Augusta” w szkarłatne szaty i obwożono po obozie, żeby wszyscy widzieli, co czeka uciekającego z obozu. Więźniowie musieli śpiewać „Voglein, Voglein bist du wieder da (Ptaszku, ptaszku jesteś znowu tutaj)”, następnie wieszano go na placu apelowym. Jak mi opowiadano, w celu zastraszenia innych, wieszano też kilku więźniów z bloku nr 19, a więc mojego. Staliśmy w jednej kolumnie z karną kompanią. Rozeszła się wiadomość, że będą wieszać co dziesiątego. Wtedy zaczęły się dokonywać różne przetasowania. Próbowano tak ustawić szereg, żeby co dziesiąty więzień był cugangiem. A przecież nie wiadano, czy rozpocznie się odliczanie od pierwszego, drugiego, czy dalszych w szeregu. Nie wiedział o tym ani blokowy, ani nawet Blockfuhrer. Stojący obok mnie chyba Francuz czy Włoch, gdy się zorientował, że stoi dziesiąty, zaczął do mnie mówić i pokazywał, że ma czworo dzieci i musi się ze mną zamienić miejscami. Naiwny, któż by się na to zgodził. Zaczęła się szarpanina. Ponieważ był silniejszy, odepchnął mnie i stanął na moim miejscu, obaj przy tej okazji dostaliśmy bykowcem. Blockfuhrer przeszedł na początek kolumny i zaczął odliczać. Gdy zbliżył się do mnie, serce biło mi mocno ze strachu. Przy słowach: „sechs, sieben, acht” – nie byłem w stanie myśleć. Stałem jak sparaliżowany. Jeszcze czterech, trzech, dwóch i do mych uszu dotarły zbawienne słowa: „dziesiąty wystąpi”. Był to ten więzień, który się ze mną zamienił. Odetchnąłem. To chyba przeznaczenie czuwało nade mną. Powieszono uciekiniera. Wszyscy sądzili, że następnie powieszą tych, którym kazano wystąpić. Długo staliśmy, czekając na dalszy bieg wypadków. Padł rozkaz: Wszyscy wracać do swoich baraków. Widocznie udowodniono, że uciekinier działał sam, nikt mu nie pomagał, dlatego postanowiono nie wieszać nikogo więcej. Dawniej taki przypadek by się nie zdarzył. Francuz skakał z radości, coś do mnie mówił, mocno gestykulując. Nic z tego nie rozumiałem. W nocy zaczęło mnie boleć gardło, czułem że mam wysoką gorączkę. Rano ledwie mówiąc, zgłosiłem to Voglowi. Po przygodzie w Politische Abteilung, a jeszcze po poczęstowaniu go kielbasą, odnosił się do mnie dobrze i me pozwalał na żadne zaczepki. Było mi jednak przykro, że odsunęli się ode mnie przychylni dotąd funkcyjni i omijali mnie z daleka. Szczególnie od czasu, gdy się rozeszło, że po miesiącu pobytu w obozie już dostałem paczkę, stałem się jeszcze bardziej podejrzany i niebezpieczny.

Po apelu Vogel poszedł ze mną na rewir. Był przekonany, że zaraz wrócimy razem na nasz blok. Jego zdaniem angina nie była na tyle poważną chorobą, by trzeba było leżeć w szpitalu, jednak po zbadaniu mnie zdecydowano, że muszę zostać. Wtedy Vogel podszedł do blokowego trzeciego rewiru i długo z nim rozmawiał, pokazując na mnie. Usłyszałem tylko, jak kilka razy powiedział: „Politische Abteilung”.

Po tej rozmowie blokowy zabrał mnie do siebie i umieścił w swojej małej sali. Znajdowały się tam tylko dwa łóżka, jedno pojedyncze drugie piętrowe. Pojedyncze zajmował blokowy, na dolnym poziomie drugiego leżał starszy, schorowany więzień. Był to były radny lub nawet sam burmistrz Wrocławia. Mój nowy blokowy bez słowa wskazał mi ręką na górny poziom łóżka. Widocznie rozmowa z Voglem zrobiła swoje i potraktował mnie jak uprzywilejowanego prormnena za którym nie wiadomo kto stoi. Gdy zostaliśmy sami, mój współlokator zaczął coś do mnie mówić. Nie wiedząc, co to jest za człowiek udając że me nie rozumiem, przezornie milczałem. Przyczyna tego był również silny ból gardła. Po paru godzinach (błogiego leżenia w wygodnym łóżku i ciepłe) przyszedł jakiś lekarz lub felczer który wstrętną, ciemną maścią wypędzłował mi gardło. Niestety nie pamiętam już jakiej był narodowości, czy

to był Polak czy Słowak Miał na imię Józef, a nazywał się chyba Nowak lub podobnie. Gdy zobaczył mój winkiel i literkę na nim, zaczął ze mną rozmawiać ni to po polsku, ni po słowacku, jednak dało się go zrozumieć. Polubił mnie od pierwszego wejrzenia, mówił, że przypominam mu syna, którego zostawił w domu. Zapewniał mnie, że tu mi będzie bardzo dobrze, żebym się niczego nie bał, dziwił się jakim sposobem znalazłem się w tej sali. Nie bojąc się i chcąc go uspokoić, opowiedziałem co się stało w Politische Abteilung. Długo się nad tym zastanawiał, może mi nawet nie uwierzył. Najbardziej dziwiło go to, że ktoś uderzył Vogla, zastanawiał się, kto to był. Przychodził przez kilka dni na zabieg i zawsze długo rozmawialiśmy ze sobą. Jak już miał do mnie zaufanie, ostrzegł mnie, żebym uważał na blokowego, żebym mu nic nie mówił, bo to Czech.

Bardzo dobrze, że mnie uprzedził. Za parę dni blokowy zapytał mnie, czy już wiem, kiedy mam wyjść na wolność. Powiedziałem, że pewnie byłbym już wyszedł, gdyby nie choroba. Zrobiło to na nim duże wrażenie. Tymczasem w sali działy się ciekawe rzeczy. W określonych godzinach, gdy nie było blokowego (sądzę, że celowo wychodził) w odwiedziny do mojego współlokatora przychodzili nie tylko funkcyjni, lecz również wyżsi rangą esesmani i przynosili paczki z żywnością, lekarstwa i smaczne zupy z esesmańskiej kuchni. Rozmawiali szeptem, pokazując znacząco na mnie. Nadal udawałem, że nic nie rozumiem i nie słyszę. Niemiec uspokajał ich mówiąc, że ten młody chłopiec nic nie rozumie. Rozmawiali nie tylko o sprawach osobistych, lecz również omawiali sytuację na froncie. Mówili o wielkich bombardowaniach, o klęskach wojsk niemieckich na wszystkich frontach. Mimo to byli jeszcze wśród nich tacy, którzy wierzyli w Hitlera, jego cudowną broń, która miała odwrócić bieg wydarzeń i przynieść zwycięstwo III Rzeszy. Po wyjściu odwiedzających współwięźniów częstował mnie wszystkim, co mu przyniesiono. Prosił, żebym tego im nigdy nie powiedział, a po zjedzeniu zupy wymyśl mu menażkę. Sam był chory na żołądek i nie mógł zjeść tego wszystkiego, co mu przyniesiono. Zrobiło mi się bardzo głupio, że korzystam z jego żywności, a przy tym udaję, że nie wiem o czym rozmawiają.

Postanowiłem przyznać się do tego. Bardzo się zdenerwował przestraszył. Ja również się zdenerwowałem obawiając się, że przy swoich znajomościach może odpowiednio zadziałać i zlikwidować znajomego treść jego rozmów świadka. Jak tylko umiałem starałem się go przekonać, że rozmawiali bardzo cicho i na górnym poziomie nic nie było słychać. Trochę się uspokoił. Po paru dniach nabraliśmy do siebie zaufania i śmiało rozmawialiśmy o wszystkim. Nie myśląc, czym to może grozić, opowiadałem mu o bestialstwie Niemców na terenie Polski. On poprawiał mnie zawsze i zamiast „Niemców”, mówił „faszystów”, zamiast „Polska”, mówił „Generalna Gubernia”. Poczynania te uzasadniał warunkami wojennymi, koniecznością zachowania porządku i bezpieczeństwa mordowanych skrycie przez Polaków niewinnych niemieckich żołnierzy. Mówił, że Polacy systematycznie sabotują pracę i przeszkadzają w odniesieniu zwycięstwa. Wtedy widząc, że ma czarny winkiel (element społeczny), a więc został osadzony w obozie za sabotaż, zapytałem, czy swój pobyt tutaj uważa za uzasadniony. Zmieszał się i nie odpowiedział. Nie bacząc na grożące niebezpieczeństwo pytałem dalej. Czy wie, dlaczego Niemcy nas napadli? Przecież to nasz kraj, nasza ojczyzna. Czy on, jako Niemiec, nie broniłby wszelkimi siłami swojego kraju, swojego domu, swojej rodziny? Próbował uzasadniać napaść w 1939 roku prześladowaniami mniejszości niemieckiej w Polsce i prowokacjami granicznymi. Wtedy zaczęła się już bardzo ostra dyskusja. Wymieniłem kolejne niemieckie napaści na swoich sąsiadów i cały szereg nie do odparcia argumentów.

– Niemcy nazywają polskich partyzantów bandytami. To nie są żadni bandyci, to jest prawdziwe wojsko, które nie morduje jeńców, jak to robią Niemcy.

Zupełnie nieodpowiedzialnie opowiedziałem, jak to po odbiciu więźnia w Nowym Wiśniczu, partyzanci darowali życie Niemcom, mimo że ci znęcali się nad więźniami. Oczywiście nie mówiłem, że sam brałem w tym udział. Przepojony gebelsowską propagandą, nie chciałem w to uwierzyć. Mówiłem mu, że już wiadomo, iż po przegranej przez Niemców wojnie Wrocław wróci do Polski.

– Breslau, Breslau – poprawiał mnie – jest starym niemieckim miastem i nigdy nie będzie polski.

Całymi godzinami jeden drugiego próbował przekonać o swych racjach. Gdy teraz pomyślę, to zdaję sobie sprawę, co by się stało, gdyby mnie wydał za mówienie takich rzeczy. Ale on był antyfaszystą i uczciwym człowiekiem. Po pewnym czasie zauważyłem, że choć tego nie dawał po sobie poznać, w wielu sprawach przyznawał mi rację. Z trudem zjadałem przynoszone mu przez wielu ludzi tak duże ilości jedzenia. Skurczony żołądek nie mógł pomieścić takich ilości pokarmu.

Do moich obowiązków należało palenie w piecu, ścielenie łóżka blokowego i sprzątanie sali. Nie była to trudna ani ciężka praca. Blokowego prawie nigdy nie było. A kiedy był, a do burmistrza przychodzili goście, ulatniał się natychmiast. Teraz goście rozmawiali już zupełnie głośno, nie zwracając na mnie uwagi.

O blokowym nie mogę powiedzieć, że był dobrym czy złym człowiekiem. Uderzył mnie tylko jeden raz w twarz i to bardzo słabo. Było to podczas wizytacji kapa rewiru. Nie wiedziałem, o co chodzi, mimo że kilkakrotnie to powtórzył. Pewnie chodziło o zamanifestowanie swojego stosunku do podwładnych. Robił wrażenie, że nie był z tego zadowolony. Szybko wracałem do zdrowia i nabierałem sił. Opuchnięta twarz wróciła do normy, a policzki się zaokrągliły. Bolały mnie jednak dziąsła, a zęby ledwie się

trzymały i obawiałem się, że lada moment wypadną. Do naszej sali coraz częściej na rozmowy przychodził Józef. Opowiadał o swojej rodzinie, za którą bardzo tęsknił. Obiecywał, że zaraz po wojnie spotkamy się na rynku w Krakowie. Gdy już wyglądałem na całkowicie zdrowego, pouczał mnie, jak mam się zachowywać w czasie wizytacji, żeby jak najdłużej tutaj pozostać. Mówił również, że dawniej na rewirze uśmiercano chorych więźniów przy pomocy fenolu. Czyniono to również wobec zdrowych, gdy rewiry były przepełnione.

Gdy to opowiedziałem memu burmistrzowi, ten bardzo się zdenerwował i zagroził, że jak Józef będzie takie brednie opowiadał, zgłosi to odpowiednim władzom. Przestraszyliśmy się bardzo i mimo że nadal zjadałem przynoszone mu jedzenie, unikaliśmy wszelkich rozmów na niebezpieczne tematy. Dopiero, gdy jeden z odwiedzających go esesmanów powiedział mu, że starania o jego zwolnienie z obozu są na dobrej drodze, postanowiłem powiedzieć mu jak najwięcej o tym, co dzieje się w obozie. Wtedy okazało się, że on wcale nie był cugangiem, nie przechodził przez blok Vogla. Opowiedziałem mu o traktowaniu cugangów na bloku dziewiętnastym, o pracy w kamieniołomach, karnej kompanii, Sonderkommando i krematorium. Razem z Józefem wymieniałem najgorszych funkcyjnych i esesmanów w obozie. Ryzykując życiem robiliśmy to świadomie, żeby po wyjściu z obozu wiedział o nim całą prawdę. Z niedowierzaniem kiwał głową i powtarzał w kółko: „unmöglich, unmöglich” (niemożliwe, niemożliwe). Mimo że sam był więźniem tego obozu, nic o nim nie wiedział i nie chciał dopuścić do swojej świadomości okrutnej prawdy.

Po pewnym czasie odwiedziny stały się coraz rzadsze, aż prawie całkiem ustały. Przychodził jeszcze tylko lageraltester 4 i kapo rewiru, żaden z esesmanów już się nie pojawił. Wtedy burmistrz zaczął podejrzewać, że z jego zwolnienia nic nie będzie.

Nieśmiało sam zaczął się dopytywać kapo rewiru o to, co mu przedtem mówiłem. Ten nie chciał na ten temat w ogóle rozmawiać, a jak na coś odpowiadał, to dawał wymijające odpowiedzi. Uzasadniał wszystko koniecznością utrzymania porządku, dyscypliny i higieny w obozie. Kapo rewiru powiedział wprost, że jest to przecież obóz koncentracyjny, którego zadaniem jest odosobnienie i wychowanie, lecz po maksymalnym wykorzystaniu, uśmiercanie wrogich III Rzeszy elementów. Następnego dnia burmistrz zapytał o to starszego obozowego, który wszystko potwierdził oraz powiedział mu, że nie ma mowy o jego zwolnieniu. Mój współlokator bardzo się zdenerwował i załamał psychicznie, przez kilka następnych dni z nikim nie rozmawiał. 15 lub 16 stycznia odwiedził go znów jeden z wyższych rangą esesmanów i w wielkiej tajemnicy powiedział, że bolszewicy przerwali front, że zbliżają się już do granic Rzeszy. Nie była to dla niego dobra wiadomość, ja jednak bardzo się ucieszyłem. Jak tak dalej pójdzie, to chyba nas wnet oswobodzą – pomyślałem. Spokój, ciepło, dobre odżywianie, wprost sanatoryjne warunki sprawiły, że zupełnie doszedłem do siebie. Odzyskałem wiarę w możliwość opuszczenia obozu nie przez komin krematorium, lecz przez bramę.

W tym czasie przywieziono do obozu kobiety, przeważnie z Powstania Warszawskiego. Umieszczono je w barakach 19, 21 i 22 lub 23. Teren ten został ogrodzony siatką i drutem kolczastym i nie wolno było tam wchodzić bez specjalnej przepustki. Wielu „wyżartych” funkcyjnych próbowało się tam przedostać i za żywność czy ciepłą odzież wykorzystać wynędzniałe, głodne i zziębnięte więźniarki. Wątpię, czy któremuś z nich udało się ten cel osiągnąć. W wielu przypadkach kończyło się to wpadką i karą. Ten przypadek spotkał Vogla, z czego cieszyli się więźniowie. Wielu szukało tam swoich bliskich czy znajomych, a także w miarę swoich możliwości udzielało pomocy.

W sprawnie funkcjonujący dotąd organizm obozowy wkraść się chaos. Do obozu przyjmowano nawet bez rejestracji. Nie wszystkie komanda wychodziły do pracy, często brakowało chleba, posiłki wydawane były o różnej porze lub wcale. Obóz był przepełniony.

Pewnego wieczoru wpadł na salę zdenerwowany Józef. Po ożywionej dyskusji z blokowym podbiegł do mnie i zapytał, gdzie ja mam jakichkolwiek kolegów. Powiedziałem, że oprócz vorabajtera Staszka na 19 bloku, nie mam nikogo. Ale blok 19 był już zajęty przez kobiety. Usłyszawszy „blok 19” chwycił się za głowę i wybiegł z sali. Po paru minutach, gdy już obowiązywał zakaz poruszania się po terenie obozowym (do nie stosujących się do tego zarządzenia strzelano bez ostrzeżenia z wież wartowniczych), przybiegł razem z dwoma nieznanymi mi więźniami. W przyniesionych przez nich butach, zawiniętego tylko w koc, zaprowadzono mnie chyłkiem na jakiś blok. Tam, na jednym łóżku razem z innym więźniem, spędziłem noc.

Rano, przed apelem, zaprowadzono mnie z powrotem na rewir. Serdecznie powitaliśmy się z moim współwięźniem. Niestety, Józef już się nie pokazał i nigdy go więcej nie spotkałem. Sąsiad powiedział mi, że w nocy była jakaś komisja. Pytali się, czy moje łóżko jest wolne. Nic mi to nie mówiło. Dopiero znacznie później usłyszałem, co mogło się stać tamtej nocy. Jedni mówili, że w związku z przepełnieniem szpitali odbyło się tak zwane szprycowanie fenolem, inni, że wybierano zdrowszych więźniów na transport do Bergen-Belsen. Nie wiem, czy w tym przypadku nie byłoby dla mnie lepiej, gdyby mnie wtedy wywieziono, bo uniknąłbym tego wszystkiego, co mnie spotkało później. Tego jednak nikt nie mógł przewidzieć. Jeszcze podejrzewałem, że może lojalny dotąd Niemiec powiedział komuś o tym, o czym razem z Józefem opowiadaliśmy. Przeczyło temu serdeczne powitanie. Zaraz po rannym apelu

przyszedł po mnie nieznanymi mi więźni i wypisano mnie z rewiru. Wtedy zrozumiałem, że oprócz szalonego szczęścia, jakie mi dopisywało, jeszcze ktoś się mną opiekuje. Będąc na bloku 19. dowiedziałem się, że w obozie działa grupka więźniów, która opiekuje się młodszymi, politycznymi więźniami. Mówiono coś o nazwisku Brzezina czy też Łozina (chodziło o Olszynę, ale o tym dowiedziałem się znacznie później).

Tak skończyła się moja „dobra” znajomość z Voglem, Cyganem i całą bandą morderców z bloku 19. Znajomość krótka, bo trwająca zaledwie miesiąc, lecz jakże niebezpieczna. Żywy i jako tako cały opuściłem hotel śmierci, gdzie kostucha zaglądała mi kilka razy w oczy. Nie udało się mnie upodlić ani Cyganowi, ani grubemu Jurkowi. Zaraz po przyjeździe do obozu nie wykończył mnie podczas ćwiczeń sztubowy, ani też później Vogel. Nie uderzyłem patrzącego mi prosto w oczy księdza, mimo że mówił: „Uderz synu, ja ci przebaczam, a Bóg też ci przebaczy”.

Komu zawdzięczam, że jeszcze żyję? Staszкови, który w odpowiednim czasie ostrzegł mnie przed Cyganem i jemu podobnym, ochraniał i bronił? Siostrze, której list przyszedł w krytycznym dla mnie momencie i zasadniczo zmienił moje położenie? Józefowi, który traktował mnie jak własnego syna? Czy komuś, kogo jeszcze nie znałem, a kto w nieznanym mi sposób wpłynął na moje losy i maczał palce w sprawie przeniesienia mnie na piąty blok?

Chyba w pierwszej kolejności zawdzięczam to sobie. Chciałem żyć i walczyłem o to życie trochę inaczej, niż autor książki „Anus Mundi”, który będąc pisarzem w schrajbsztubie celowo robił pomyłki, aby go przeniesiono. Czy pomyślał o swoich kolegach, którzy niezależnie od warunków atmosferycznych stali na apelu dotąd, aż wykryto pomyłkę? Walczyłem o to życie z determinacją ale uczciwie, nie kosztem innych więźniów, z szalonym szczęściem, wykorzystując każdą nikłą szansę. Nigdy nie zwątpiłem, nigdy się nie załamalem.

Opuściłem sielskie życie na rewirze nr 3. Straciłem na zawsze drogiego Józefa. Ryzykując życiem, przekazałem wiele informacji o warunkach panujących w obozie byłemu burmistrzowi Wrocławia, aby gdy przeżyje, mógł je przekazać narodowi niemieckiemu.

Blok nr 5 to zupełnie inny świat. Prawie wszystkie funkcje były opanowane przez więźniów politycznych – Polaków. Panował tu spokój i jak na ówczesne czasy, wyjątkowy porządek. Porcje jedzenia rozdzielane były tutaj sprawiedliwie, a dolewki otrzymywali tylko najbardziej potrzebujący. Nigdy nie widziałem bicia czy maltretowania więźniów przez funkcyjnych. Gdy pomyślałem, co dostało się na dziewiętnastce, było mi bardzo żal, że wcześniej nie udało mi się tutaj dostać. Otrzymałem własne miejsce na pryczy, miskę i ręcznik. Czulem, że tutaj prawie wszyscy są mi życzliwi. Wymieniono mi cienkie pasiaki na ciepłą odzież cywilną – oczywiście odpowiednio pomalowaną czerwonym lakierem. Dostałem również ciepłe skórzane buty z onuckami. Przydzielono mi stałą „pracę”. Na kawałeczkach białego płótna odbijałem drewnianymi klockami winkle i numery, następnie szmatki te przyszywałem do cywilnych marynarek. Przez cały dzień miałem pozorować te prace. Pracowałem tylko wtedy, gdy zbliżał się ktoś obcy, a więc esesman, starszy obozowy lub blokowy innego bloku. Swoich funkcyjnych nie trzeba było się bać. Odbijałem więc te numery, przyszywałem i znów je odpruwałem, żeby mieć co robić przez cały dzień. Byłem zaskoczony miłą, koleżeńską atmosferą panującą na tym bloku. Wieczorami śmiało mówiło się o tym, co dzieje się w kraju i na frontach. Ponieważ niedawno opuściłem kraj, opowiadałem o ruchu oporu, o AK, o partyzantce. Z zaciekawieniem słuchano, gdy opowiadałem o moim udziale w wyzwoleniu więźniów z więzienia w Nowym Wiśniczu. Gdy wymieniłem raz swoje nazwisko, jeden z funkcyjnych, może nawet sam blokowy zapytał mnie, czy miałem brata w Szkole Podchorążych w Komorowie Mazowieckim. Okazało się, że znali się bardzo dobrze. Powiedziałem mu, że brat jest dowódcą I batalionu 12. pułku piechoty Armii Krajowej w konspiracji. To wszystko, co mówiłem, podtrzymało ich bardzo na duchu. W ten sposób zyskałem nowego przyjaciela. Niestety, nie znam ani jego nazwiska, ani nawet imienia.

W pomieszczeniu było ciepło i spokojnie, choć na polu padał śnieg i wiał silny wiatr. Nagle zobaczyłem, jak na głównej drodze esesmani z psami i pejciami w ręku prowadzili kolumnę muzułmanów. Więźniowie mieli głowy poowijane w jakieś szmaty, chusty i koce, które osłaniały od zimna przemarznięte, szerniałe od wiatru i brudu twarze. Niektórzy w samych pasiakach, inni tylko w cywilnych ubraniach, nawet bez płaszczy, z największym trudem posuwali poodmrażane, poowijane szmatami a nawet słomą nogi. Co chwilę ktoś z nich osuwał się na ziemię, podnosił resztkami sił i znów padał aż w końcu upadł na zawsze, tuż przed celem wędrówki. Nikt z idących obok więźniów nie miał sił, aby mu pomóc. Konwojujący esesmani sprawdzali butem, czy leżący jeszcze się rusza. Jeżeli tak, to rozlegał się strzał i kończył męczarnię. Byli to więźniowie z ewakuowanego obozu w Oświęcimiu. Czasem ktoś z naszego obozu rozpoznawał swoich krewnych lub znajomych z więzień lub innych kacetów. .Wszelkie próby rozmów lub podejścia bliżej kolumny i podania pajdki chleba kończyły się niepowodzeniem. Esesmani strzelali bez ostrzeżenia, byli to wyjątkowi mordercy. Ponieważ te postacie, a raczej półtrupcy posuwały się bardzo wolno, kolumna szła i szła. Po przejściu na drodze leżało kilka nieruchomych ciał, które natychmiast zabrali więźniowie i zanieśli do krematorium. Bezradni, ze zgrozą i trwożą patrzyliśmy na ten żalony pochód. Spodziewaliśmy się, że również nas może czekać



w najbliższym czasie taki sam los. Ten marsz śmierci trwał dwa, a może trzy dni. Skończył się, gdy nowy, niezupełnie wykończony obóz nie mógł już więcej pomieścić.

Na piątym bloku było mi za dobrze, żeby to miało trwać zbyt długo. Nastął 8 lutego 1945 roku. Po rannym apelu, gdy już grupy robocze wyszły do pracy poza obóz, wypędzono nas wszystkich z baraków na plac apelowy. Od wschodu coraz wyraźniej słychać było huk artylerii. Blokowy, spodziewając się ewakuacji, pozwolił nam wbrew przepisom włożyć pod ubranie papierowe worki po cemente, uważał, że nikt nie będzie tego sprawdzał. Dał nam również ze swoich zapasów po kawałeczku chleba.

Na placu apelowym wszystko poszło bardzo szybko. Ze stojących piątkami więźniów, esesmani powybierali tylko zdrowych i silnych. Niestety, tym razem dzięki paczkom żywnościowym burmistrza i dobrym warunkom na piątym bloku tak właśnie wyglądałem. Zdecydowanie wyciągnięto mnie z kolumny. Znów strach, co teraz będzie. Każde nowe było nieznane i groźne. Wymaszerowaliśmy za bramę obozu, tam załadowano nas do krytych plandekami samochodów i ruszyliśmy w nieznanym kierunku. Po kilkunastu minutach samochody zatrzymały się i kazano nam wysiadać. Eskortowali nas zupełnie nieznani esesmani, byli wściekli i bili bez powodu każdego, kto był pod ręką.

Na zboczach wzniesienia zobaczyliśmy świeże rowy i głębokie wykopy. Ogarnęło nas przerażenie. Pewnie tutaj nas wykończą – myśleliśmy, to na nas czekają te wykopy. Strzał w tył głowy lub seria z automatu w kolumnę i po wszystkim. Ale czemu nas aż tutaj przywieziono? Przecież to samo można było zrobić w obozie.

Drżała ziemia, coraz wyraźniej było słychać huk armat. Front był już bardzo blisko, żal było właśnie teraz umierać. Kilku więźniów nie wytrzymało napięcia i próbowało uciekać. Serie z automatów skosiły uciekinierów. Poprowadzono nas jeszcze kilkaset metrów, rozdano kilofy oraz łopaty i kazano nam kopać rowy przeciwczołgowe. Nie było żadnych kapów ani vorarabajterów, nadzorowali nas esesmani. Bili każdego, kto ich zdaniem wolniej pracował. Każdy głośniejszy huk armat zwiększał nerwowość i wściekłość oprawców, a budził nasze nadzieje na szybkie oswobodzenie.

Po kilku godzinach pracy popędzono nas do szosy, gdzie czekały już samochody. Podczas wsiadania każdy z nas otrzymał po kawałku wurstu i dwóch trzecich części bochenka chleba. Gdy odebrałem swoją kielbasę i dwa kawałki chleba sądziłem, że to pomyłka i uważając, że tyle mi się nie należy, jeden kawałek zwróciłem. Nieuczciwy wydawca zamiast mi to wytłumaczyć, zdziwił się i odłożył na bok zwróconą porcję. Dopiero później stwierdziłem, że przy podziale dwóch bochenków chleba na trzy części, co drugi otrzymywał dwa małe kawałki. Niestety, było już za późno. Za swoją uczciwość straciłem połowę swojej porcji. Po wydaniu chleba zawieziono nas na jakąś stację kolejową. Nie był to dworzec w Gross-Rosen. Po drodze znów kilku więźniów próbowało uciekać. Dwa razy kolumna zatrzymywała się, słyszeliśmy krzyki i strzały. Ucieczka nikomu się nie udała. Znów niepotrzebna śmierć.

Na stacji stało dużo wagonów i długie kolumny więźniów. Do odkrytych wagonów trzeba było wchodzić przez podniesioną burtę. Nie każdy miał wystarczająco dużo sił, by to zrobić. Znów bicie, krzyk, szczekanie psów i strzały słychać było przy wielu wagonach. Pierwszym było najtrudniej wejść do wagonu, następnym można było podać rękę i wciągnąć do środka. Do każdego wagonu załadowano po 50-60 więźniów. Weszło jeszcze po dwóch postów, dla których trzeba było zrobić dużo miejsca. Gdy już ruszyliśmy, dało się słyszeć strzały. Nie wiedzieliśmy, co się stało, sądziliśmy, że to kolejna nieudana próba ucieczki. Okazało się, że w jednym wagonie esesman uznał, że odległość między nim a więźniami jest zbyt mała i gdy nie pomogło bicie i szturchanie, zlikwidował kilku najbliższych. Za odjeżdżającym pociągiem na torach i peronach zostały też ciała tych, którzy nie mieli siły wyjść do wagonów i zostali zastrzeleni przez konwojentów.

Zdawało się, że tak blisko byli wolności, a jednak zostali tam na zawsze. Jeszcze wtedy było nam ich żal, nie wiedzieliśmy, że przed nami były najcięższe i najtragiczniejsze chwile naszej obozowej tułaczki. Na dalszą poniewierkę, stłoczonych niewiarygodnie, ciągnęły nas dwie lokomotywy, ciężko sapiąc. Podobno w sąsiednim wagonie zamordowano jakiegoś funkcyjnego, kapo lub blokowego. W odwecie na pierwszym postoju esesmani zastrzelili kilku więźniów z tego wagonu. Byli to sami więźniowie z czerwonymi winkłami. Pociąg wózków się bardzo powoli, zatrzymując się co parę kilometrów na dłuższe postoje. Początkowo padał deszcz. Gdy wjechaliśmy w góry, natychmiast się oziębilo i zaczął padać śnieg. Zimny wiatr i powodowany szybką jazdą pęd powietrza dawał się we znaki szczególnie więźniom znajdującym się przy bandach. Przemoczone ubrania zamarzały. Od czasu do czasu kotłowało się w wagonach, były to próby zamiany zajmowanych miejsc. Skutkiem tego w środku wagonu znaleźli się najsilniejsi. Cienkie pasiaki nie chroniły od wiatru i zimna. Chorzy i wycieńczeni więźniowie zamarzali stojąc, tworząc zasłonę od wiatru dla pozostałych. Całe szczęście, że dzięki przezorności i dobremu sercu naszego blokowego z piątki, kilku z nas miało dodatkową ochronę od zimna i wiatru w postaci izolacyjnej warstwy papieru pod ubraniem.

Nie dostawaliśmy nic do jedzenia ani picia. Zlizywaliśmy z warg padające płatki śniegu. Nie wolno było zlizywać śniegu z band wagonu, lecz czynni to po kryjomu zasłonięci od esesmanów więźniowie. Byłem bardzo głodny, miałem przecież połowę tego, co mieli inni. Znów zaczęło mnie boleć gardło.

A pociąg kluczył jak tropione zwierzę, po kilka razy przejeżdżaliśmy przez te same stacje. Po trzech dniach zmarłych było tak dużo, że w wagonie zrobiło się całkiem luźno.

Esesmani, mimo że byli w kożuchach, przemarzali również i już nie reagowali na to, co się działo w wagonach. Nie zwracali uwagi, gdy z trupów ściągano odzież i wkładano ją na siebie. Głód dawał się coraz bardziej we znaki, więźniowie zbierali śnieg i jedli. W nocy, na jednym z dłuższych postojów, zmarznięci i zubożeni esesmani pozwolili kilku więźniom zejść z wagonu, pozbierać leżące na torach arkusze blachy oraz połamane opakowania i rozpalic w wagonie ognisko. Zrobiono tak jeszcze w kilku innych wagonach. Jedną stroną ogniska zajęli obaj esesmani. Dym gryzł w oczy, ale było już znacznie cieplej. Była noc, wokół płonących ognisk cisnęli się ludzie-widma. W jaskrawym świetle dzikim blaskiem błyszczały przekrwione od zimna i wiatru oczy. Gdzieś bardzo blisko było bombardowanie, słychać było warkot samolotów i wybuchy bomb. Rano zatrzymaliśmy się na jakiejś większej stacji. Zapowiadało się na dłuższy postój. Esesmani zmieniając się, chodzili do budynku dworcowego po ciepły posiłek. Jeden z naszych postów, który niespodziewanie dzień temu zaczął nagle mówić po polsku, przyniósł cały bochenek chleba. Powiedział nam, że kupił go za swój zegarek. Faktycznie, na ręce nie miał zegarka. Policzył żyjących i sprawiedliwie podzielił chleb na 35 porcji. Wypadło po około 2 deka na każdego z nas. Wydawał po kawałeczku osobiście, uważając, żeby ktoś nie otrzymał drugi raz. Był to pierwszy przypadek pomocy więźniom ze strony esesmana. Nie mogliśmy się nadziwić. Drugi esesman nie interesował się tym wcale.

Od czasu rozpalenia ogniska problem wody został rozwiązany. Spod pasiaków wyciągnięto parę misek i menażek. Pozwolono zbierać śnieg i gotować wodę. Gdy właściciele zaspokoili swoje pragnienie, każdemu z pozostałych udało się dostać parę kropel wrzątku. Dla wielu więźniów nawet ten łyk gorącej wody stanowił ratunek. W wagonie panowały koleżeńskie stosunki. Opiekowano się chorymi i czym kto mógł starał się pomóc drugiemu. Mijaliśmy miasteczka i wioski. Na drogach panował tłok, wszędzie pełno uciekinierów. Na wozach, pieszo, z wózkami i rowerami pełnymi tobołów. Nie żalowaliśmy ich, nie współczuliśmy. To przecież Niemcy, ci sami, których mężowie, bracia, ojcowie czy synowie mordowali całe narody. Znęcali się, zabijali starców i dzieci, gazowali w komorach, palili w krematoriach. Urządzali sobie zawody, kto wymyśli najciekawsze sposoby mordy, kto więcej zabije. Czy idzie wśród nich matka Vogla lub któregoś z oprawców 19. bloku Gross-Rosen? Patrzyliśmy na nich obojętnie, a nawet byliśmy usatysfakcjonowani. Wielu z nas przypomniało sobie rok 1939, czarne krzyże samolotów nad zapelnionymi uciekinierami drogami. Bomby i serie karabinów maszynowych zabijały setki, tysiące niewinnych ludzi. Nie, nie można im współczuć. Kartki kalendarza odwróciły się, zmieniły się role. Żeby tak jeszcze pokazały się alianckie samoloty, żeby poczuli strach i poniżenie.

Ognisko powoli wygasa. Skończyło się drewno. Jest to już czwarta doba naszej podróży.

Nareszcie jakaś większa miejscowość. Słychać głośnie „Raus, raus alle aussteigen”. Jesteśmy na miejscu. Czy to Dachau, Buchenwald czy Dora? Nikt nie wie. Podświadomie, ostatkiem sił wysiadam z wagonu i staję w kolumnie. Idziemy przez zbombardowane ulice miasta. Nagle „Halt!”, wszyscy z powrotem. Czyżby to jeszcze nie koniec? – zadajemy sobie pytanie. Ale nie, to tylko trzeba opróżnić wagony z trupów. Nie mam sił nawet ciągnąć zwłok po ziemi. Boję się, że zaraz sam upadnę. Dalszej drogi nie pamiętam. Przypominam sobie jak przez mgłę, że ktoś bierze mnie pod rękę i prowadzi z kolumną. Ma czerwony winkiel bez litery oznaczającej narodowość, a na rękawie opaskę i napis „Capo”.

– To jest Nordhausen – mówi – ale nie główny obóz, lecz tymczasowe pomieszczenie Nordhausen-miasto.

– Skąd jesteś? – a z Krakowa, to jesteście krajanami.

Spojrzałem na jego winkiel, na którym nie było litery „P”. Wtedy powiedział: „To nic nie znaczy”, ja jednak nadal mu nie wierzyłem, bo nie mówił czysto po polsku. Ale udzielona mi pomoc przekonała mnie, że nie jest złym człowiekiem. Poza tym zawsze to kapo i nie wiadomo, kiedy może się przydać. Za chwilę zapytał: A masz ty może coś do przechowania? Może jakieś pamiątki, zdjęcia, a może medalik lub coś ze złota? Jeżeli coś masz to daj, ja ci przechowam, bo jak będzie zmiana odzieży, to ci wszystko zabiorą.

Te ostatnie słowa były przekonujące. Sądziłem, że przed wydaniem odzieży będzie odwzalnianie i wszystko nago, jak w Gross-Rosen. Wtedy nic się nie da ukryć, co robić? Miałem złotą monetę znaną w jednym z cywilnych ubrań, gdy przyszywałem numery na piątym bloku w Gross-Rosen. Uwierzyłem i oddałem. Omal nie wydałem na siebie wyroku śmierci, ale o tym później.

Wpędzono nas do olbrzymich, pustych hal. Nie było tam ani łóżek, ani kranów z wodą, ani koryt do mycia. Tak jak weszliśmy, padliśmy na betonową zimną posadzkę i leżeliśmy do następnego dnia. Rano odbyło się przyjęcie do obozu. Każdy podchodził do postawionego w kącie stolika, mówił swoje nazwisko, numer z poprzedniego obozu i otrzymywał nowy numer. Otrzymałem nr 117815. Zmiany odzieży nie było. Był to faktycznie powołany z chwilą naszego przybycia podobóz Nordhausen-miasto, podległy obozowi macierzystemu Mittelbau-Nordhausen. Oprócz stolika, przy którym przydzielano nam numery, w pierwszych dniach pobytu nie było tam nic. Nie było wody, nie było ubikacji. Kilka

metrów za halami wykopany był głęboki rów, tam należało się załatwiać. Obóz nie był otoczony drutem kolczastym podłączonym do sieci elektrycznej, co parę metrów stały betonowe bunkry dla postów.

W drugim dniu pobytu przywieziono w drewnianych baliach, konewkach i różnych pojemnikach, pierwszy posiłek. Była to tłusta zupa z kawałkami słoniny, bez śladu jarzyn i ziemniaków. Łapczywie wszyscy rzucili się do jedzenia. Nie zdawali sobie sprawy, co taki posiłek znaczy dla wygłodzonego żołądka. A może nawet zdawali sobie sprawę, ale głód po czterech dniach podróży był silniejszy niż rozsądek. Gdy nareszcie otrzymałem swoją porcję i łapczywie podniosłem miskę do ust, któryś wytrącił mi ją i cała zawartość wylała się na posadzkę. Zrozpaczony próbowałem pozbierać z posadzki kawałki tłuszczu, lecz to mi się nie udało.

– Zostaw to świństwo – usłyszałem nad uchem – przecież to śmierć. Spojrzałem z nienawiścią na łobuza, lecz nie było go już obok mnie. Szybko przesunął się między więźniami i niewidocznie wytrącał miski i wylewał zupę. Podniósł się krzyk „pokrzywdzonych”, więc szybko się ulotnił. Wiedział, co robi. Jeszcze nie skończył się ten wspaniały posiłek, a już dziesiątki więźniów wiło się z bólu. Dostali biegunki. Całą noc słychać było stękania i jęki. Rano wielu z tych, co zjedli zupę, już nie żyło. Cała posadzka oraz droga do latryny zabrudzone były odchodami, w pomieszczeniu panował okropny smród. Do mycia wypędzono nas pod halę. Każdy z nas rozebrany do pasa podchodził pod kran, gdzie gumowym węzem oblewany był zimną jak lód wodą. W tym czasie z hali usunięto trupy. Zmyto posadzkę silnym strumieniem wody. Ustawiono nas w piątki i na każdą piątkę przydzielono jedną „biksę” do picia, to jest półlitrową puszkę po konserwach, napełnioną czymś, co przypominało kawę. Przy podziale działy się dantejskie sceny. Jeszcze pierwszy czy drugi nie zmoczył dobrze warg, a już puszka była wrywana przez następnych. Powstała szarpanina i skutek był taki, że zawartość została wylana. Ostatni mógł przynajmniej zjeść fusy. Wydano również przy tym małe ziemniaczki w łupinach i odrobinę margaryny. Po pewnym czasie pokazał się mój opiekun i dał mi kawałek chleba. Część po kryjomu zjadłem, a resztę dobrze ukryłem. Obawiałem się, że jeżeli to ktoś zauważy, to go stracę. Opiekun obiecał mi, że codziennie postara się podać mi trochę żywności. Wieczorem na obiad, a jednocześnie kolację, znów otrzymaliśmy po trzy małe ziemniaki w łupinach i odrobinę margaryny. Noc spędziliśmy na zabrudzonej od nowa odchodami chorych zimnej posadzce. Ciało kostniało od zimnego jak lód betonu.

Rano znów wszyscy rozebrani do pasa stawali pod kranem do mycia. Cały dzień z hali wynoszono trupy. Codziennie wywoływano ochotników nie wiadomo do czego. Zgłaszający nie wiedzieli, po co się zgłaszają. Coraz więcej więźniów miało biegunkę. Biegący do latryny zostawiali za sobą krwawe plamy. Zdarzało się, że wpadali do dołów kloacznych i już stamtąd nie wychodzili.

W nocy stwierdziłem, że robią mi się czyraki na lewej ręce i nodze. Piekły niemiłosiernie. Gdy rano podszedłem do mycia, starałem się zasłonić obsypaną czyrakami lewą stronę. Niestety, zauważył to trzymający gumowy wąż funkcyjny. Był to więzień z zielonym winkiem bez żadnej litery, a więc Niemiec. Dotykając mocno końcówką węża, oblewał mnie mocnym strumieniem zimnej jak lód wody. Porozrywał jeszcze niezupełnie dojrzałe czyraki, z których popłynęła krwawa ropa. Ból był straszny. Przez całe ciało przechodził przejmujący dreszcz, Niemiec wyzwał mnie przy tym od brudnych świń i śmierdzących łajn. Nareszcie przestał. Na ropiejące ciało włożyłem odzież, która kleiła się do rozpalonych ran. Czuję, że mam wysoką gorączkę. Na szczęście zaraz po powrocie zostałem przeniesiony do drugiej części hali. Przez cały poprzedni dzień zwożono tam drewno i z nieheblowanych desek montowano trzypoziomowe łóżka. Uzupelniono je wypełnionymi słomą siennikami i kocami. Luksus. Jak zwykle silniejsi zajęli lepsze miejsca, ale i mnie udało się rozłożyć na drugim poziomie. W nocy miałem wysoką temperaturę i zacząłem majaczyć. Po przeprowadzonej „kuracji” moich czyraków sądziłem, że nie doczekam dnia następnego. Gdy po ciężkiej, nieprzespanej nocy spojrzałem na ręce i nogi, nie chciałem wierzyć własnym oczom. Na ręce po wielkich ropiejących ranach zostały tylko strupki, nie było ani śladu krwawej ropy. Jeszcze tylko na nogach czyraki piekły boleśnie, nie były bowiem poddane „kuracji” mojego oprawcy, który nie zdawał sobie sprawy, że ta lodowata woda zniszczy bakterie i zamiast mnie wykończyć, wyleczy. Całe szczęście, że panował wielki bałagan i nie odbywały się apele. Nie pokazywali się esesmani, ale za to pokazywały się w ogromnych ilościach wszy. Cały dzień nic nie robiliśmy, tylko iskaliśmy to świństwo. Ponieważ nadal otrzymywaliśmy dziennie po trzy ziemniaki w łupinach, już bez tej odrobiny margaryny, panował wielki głód. Nie dostawaliśmy ani zupy, ani chleba. Wprawdzie wydano nam łyżki i miski, ale nie było okazji z nich skorzystać. Picie nadal otrzymywaliśmy w mikroskopijnych ilościach, jedna puszka po konserwie na pięć osób. Z głodu, wycieńczenia i chorób więźniowie padali jak muchy. Nie trzeba było katowania i komór gazowych, stan stałe się zmniejszał.

Zupełnie niespodziewanie spotkałem znajomego, któremu na przechowanie dałem monetę. Spotkaliśmy się twarzą w twarz i nie mógł mnie unikać. Wprawdzie nic mi nie dał, ale przyrzekł, że depozyt zwróci wieczorem. Nie pokazał się. Odnalazł mnie rano i zamiast depozytu znów dał mi kawałek chleba. Skąd on miał ten chleb – zastanawiałem się. Przecież my tutaj nie widzieliśmy nawet odrobiny chleba. Znów problem, czy nie zostawić odrobiny na jutro. Jak ukryć przed innymi? Nie,

postanowiłem zjeść wszystko. Ujawnienie tego, że posiadam chleb, mogło się skończyć nie tylko jego utratą, ale i kosztować życie. Przecież bez żadnych skrupułów mordowano za trzy ziemniaki, nawet za skórki, a co dopiero może się stać, kiedy zobaczą, że mam chleb? Udając, że mnie zęby bołą, zasłaniając twarz czapką, po okruszynie konsumowałem cenną zdobycz. Mój znajomy obiecał przynieść po kawałku chleba co drugi dzień, ale nic nie przynosił przez parę dni. Aż zobaczyłem, jak w towarzystwie posta wchodzi na teren naszego obozu. Po oddaleniu posta podbiegłem do niego i upomniałem się albo o chleb, albo o zwrot monety. Nie wiem, czy pomagając mi w drodze do obozu, biorąc w depozyt złotą dziesięciodolarówkę i nawet dając od czasu do czasu kawałek chleba ludził się, że wcześniej czy później zginę i depozyt przypadnie jemu, bo zachował się zaskakująco.

Oburzony, że się jeszcze upominam powiedział, że dał mi już wystarczająco dużo, a jak mi się to nie podoba, to powie komu trzeba, że miałem złoto. Groziło to niechybną śmiercią. Wołałem milczeć, przestraszony odszedłem. Tak więc za złotą dziesięciodolarówkę dostałem jeden bochenek chleba, bowiem tyle by było, gdybym poskładał wszystkie otrzymane od niego kawałki. Był to jednak najlepszy interes, jaki kiedykolwiek w życiu zrobiłem. Nie mówiło się tutaj na wagę złota, lecz na wagę chleba, ziemniaka czy brukwi. Złoto nie miało wtedy dla mnie żadnego znaczenia, a chleb decydował o życiu.

Jeszcze raz podano zamiast ziemniaków w obierkach zupę z kawałkiem słoniny. Zrobiono to chyba celowo, aby zginęło jak najwięcej więźniów. Już wtedy wiedziałem, co mam robić. Gdy podszedłem do kotła, powiedziałem nieśmiało: Mam Durchfall, proszę mi dać ze spodu troszeczkę samej brukwi. Funkcyjny spojrzał na mnie przyjaźnie, mocno zanurzył chochlę. Dał mi kilka kawałeczków brukwi i nawet ziemniaków, odlewając tłustą zupę. „Oj, głupi, głupi” mówili, nie słuchając moich przestróg nowo przybyli więźniowie. Nie wierzyli ani nie chcieli wierzyć, co ich czeka po takim posiłku. Byli to przeważnie więźniowie z Powstania Warszawskiego, przeniesieni tutaj z jakiegoś jenieckiego obozu. Gdy tylko odeszli od kotła, rzucili się łapczywie do jedzenia. Nadal próbowałem ich przekonać o grożącym niebezpieczeństwie. Na nic moje wysiłki. Głód był silniejszy od moich argumentów. Po paru godzinach, znów było słychać jęki i krzyki. Dziesiątki trupów zaległy obok latryny. Niektórzy, wijąc się z bólu, nie próbowali nawet tam dojść. Nikt im nie udzielał pomocy. Nadal prócz postów nie widziałem żadnego esesmana. Zniknęli też gdzieś funkcyjni. Nikt nie rozkazywał, nikt nie bił, nikt się nie znęcał.

Mimo to śmiertelność była ogromna. Lagerkomando zbierało trupy i układało przy wejściu do obozu. Co noc przyjeżdżali więźniowie z innego obozu i wywozili je krytymi ciężarówkami. Rano plac był pusty, ale przed wieczorem były świeże trupy. Żał było patrzeć, jak w ciągu Miku dni zginęła cała rodzina z Warszawy: ojciec staruszek i trzech jego synów. Biedni chłopcy, chcąc ratować ojca, oddawali mu swoje porcje ziemniaków. Bronił się i nie chciał ich przyjmować. Po kolei zginęli wszyscy, ojciec zmarł ostatni.

Nie pamiętam jak długo byłem w tym obozie: może dwa a może trzy tygodnie. Często było słychać ciężki warkot samolotów i wybuchy bomb. Wszyscy wtedy bardzo się cieszyli. Nie baliśmy się, że możemy zginąć, chcieliśmy, żeby bomby zrzucono na nas.

Aż przysłała ta noc. Koło godziny 23 zaczęło się bombardowanie miasta. Po kilku wybuchach widno było jak w dzień. Paliły się zbiorniki z paliwem. Od potężnych eksplozji nasze prycze podskakiwały jak pchły po betonowej posadzce. Nagle błysk, huk i spadłem z pryczy na beton. To jedna z bomb spadła tuż obok nas. Prąd został przerwany i zgasło przyćmione światło. Pilnujący nas posty pochowali się w bunkrach. Wydaje mi się, że nikt jednak nie próbował uciekać. Nie było sensu się narażać gdy, jak się nam wydawało, wolność jest tak blisko.

Rano zebrano nas o wiele mniej niż w dniu poprzednim. Czy jednak uciekli, czy zginęli ód bomby, nigdy się tego nie dowiedziałem. Po raz pierwszy dostaliśmy śniadanie. O dziwo, otrzymaliśmy po jednej czwartej chleba i kawałku wurstu. Po wydaniu porcji nastąpił wymarsz. Popędzania przez starych konwojentów szliśmy przez zbombardowane miasto. Widok gruzów i zniszczonych domów dodawał nam siłę i budził nową nadzieję na przetrwanie. Nieliczni przechodnie i coś wykrzykiwali i wygrażali nam pięściami. Konwojenci zachowywali się zupełnie przyzwoicie.

Po kilkunastu godzinach spokojnego marszu dotarliśmy do jednego z wielu ausskommandi obozu Nordhauseh-Harzungen. Tutaj jeszcze panował normalny obozowy porządek, jak w Gross-Rosen. Obóz był otoczony drutem kolczastym z prądem elektrycznym, kręcili się po nim esesmani, blokowi i kapo.

I znów zostałem cugangiem. Nie miałem tu nikogo, nie mogłem liczyć na czyjąś pomoc, tylko na własne siły i szczęście. Znalazłem się na bloku nr 3. Mieściła się tam też karna kompania. Blokowym był Czech, potężne chłopisko. Szczególnie bali się go więźniowie z innych bloków. Raz tylko widziałem, jak uderzył, ale to jedno uderzenie wystarczyło, żeby w obozie było o jeden numer mniej. Początkowo nie pracowałem, jak wszyscy przybyli z Nordhausen, dlatego też nie otrzymywałem chleba, tylko same zupy. Różni kapowie wybierali codziennie po kilku silnych i zdrowych więźniów do swoich grup roboczych.

Niestety, nie wyglądałem na silnego i zdrowego. Mimo że głód mi dokuczał coraz bardziej, a pracujący otrzymywali prócz zupy chleb, unikałem dostania się do grupy roboczej. Bałem się, że żadnej

pracy nie podołam. W pierwszych dniach marca uzupełniano feraki w komandach roboczych: Do naszego baraku podszedł lager-kapo i z szeregu wyciągnął sześciu najmłodszych chłopców, w tym również mnie. Było w tej grupie trzech Polaków. Oprócz mnie jeszcze Mietek z Łodzi i młodszy ode mnie chłopiec z Poznania, którego ze względu na kształt nosa nazywaliśmy Sikorką. Do najwyższego z nas Mietka podszedł i powiedział:

– Du bist Vorarbeiter. Musicie go słuchać. U mnie będzie wam dobrze, ale musicie solidnie pracować i nie kraść.

Był to Niemiec z czerwonym winkiem. Niski numer świadczył o wieloletnim stażu obozowym. Nasz nowy kapo poprowadził nas na koniec obozu. Stały tam dwie platformy i chłopski wóz na drewnianych kołach. Dwóch z nas stanęło przy dyszlu, a pozostali pchali. Gdy podjechaliśmy pod bramę obozu, zameldował: „Brotfahrekom-mando” i przekazał pod: opiekę esesmanom. Pokazując na jednego z nich, powiedział cicho:

– Er ist gut, ale na tego drugiego musicie uważać.

Nie wszystko zrozumieliśmy, ale jak się później okazało, miał rację. Kapo wrócił do obozu, a my, ciągnąc wóz, wyszliśmy za bramę. Wychodząc z obozu usłyszeliśmy, jak ktoś zawołał: „a zbierajcie kipy”. Niestety my nie wiedzieliśmy, o co chodzi. Tak w pierwszym dniu przegapiliśmy dobrą okazję. Stary dziadek, określony jako „gut” i młody post ze spojrzeniem bandyty, krzycząc głośno i wymachując bykowcami, poprowadzili nas przez ulice miasta. Z trudem pchaliśmy ciężki, dwukonny wóz, potykając się i stukając drewniakami o bruk. Mieszkańcy miasteczka patrzyli na nas z nienawiścią. Podjechaliśmy pod piekarnię. Piekarz, starszy już człowiek, gdy zobaczył nowych więźniów przy zaprzęgu, ostrzegł nas, że jak mu zginie chleb albo choć jedna bułka, to będzie stryzyk. Pokazywał to znacząco i głośno krzychał. Gdy młody esesman się odwrócił, mrugnął znacząco i powiedział: „keine Angst”. W piekarni ustawił nas w łańcuszek tak, że jeden od drugiego stał o parę kroków. Podając chleb z rzędu półek liczył głośno „zwei, vier, sechs i tak dalej. My powtarzaliśmy za nim te słowa i rzucaliśmy z rąk do rąk jednocześnie po dwa chleby na raz, aż do samego wozu, który stał przed piekarnią. Tam chleb układany. był równiutko, żeby się jak najwięcej zmieściło.

Zdarzało się, że wypadali z niewprawionych do tej czynności rąk. Wtedy krzyczeli i bili obydwa esesmani i piekarz, ale stary post i piekarz tylko pozorowali bicie, za to wrzeszczeli bardzo głośno, tak, że słychać ich było na kilku ulicach.

Żałowaliście 300 bochenków chleba – taka była norma. Wtedy piekarz ukradkiem dał każdemu po kawałeczku połamanej bułki. Przypomnił nam, że należy zjeść wszystko naraz i nie wolno nic wnosić przez bramę. Dyskretnie, aby młody post nie widział, schrupaliśmy je z rozkoszą. Przez tyle dni nie mieliśmy czegoś tak smacznego w ustach.

Z największym trudem, po wybrukowanej drodze, pchaliśmy załadowany po brzegi wóz. Nie mieliśmy jeszcze w tym wprawę, każde zagłębienie powodowało zatrzymanie wozu i bardzo trudno było ponownie ruszyć. W pewnym momencie zauważyłem, jak jeden z nas ukradkiem odłamuje i je małe okruchy chleba. Oburzyłem się: jak to, mimo że otrzymał trochę pieczywa od piekarza, to jeszcze okrada innych. Widział to również Sikorka. Sprzeciwiliśmy się kategorycznie i powiedzieliśmy o tym vorarbijterowi. Gdy i jego upomnienia nie pomogły, zagroziliśmy, że powiemy postom. Bojąc się, że spełnimy groźbę, przestał to robić, ale od tej pory patrzył na nas wilkiem. Przecież w ten sposób, jak odłamać nawet kawałeczek bochenka, to ktoś otrzyma o troszeczkę chleba mniej.

Wreszcie brama. Nieprzyzwyczajone do takiej drogi nogi bardzo bolały, były też lekko poranione, bo na każdej nierówności twarde drewniaki ocierały o gołe ciało.

Podjechaliśmy pod okienko kuchni. Jeden więzień i młody esesman zostali przy wozie, pozostali razem z dziadkiem weszli do magazynu kuchni. Ustawiliśmy się co parę kroków, między półkami pełnymi chleba. Również magazynier, też Niemiec z czarnym winkiem, widząc nową obsadę, wygłosił mowę na temat znacunku dla chleba i solidnej pracy dla dobra Rzeszy i Fuhrera. Szczególnie słowa „Rzesza” i „Fuhrer” wypowiedział bardzo głośno. Rzucając chleb z rąk do rąk, szybko rozładowaliśmy wóz. Stan zgadzał się i żaden bochenek nie był uszkodzony. W nagrodę magazynier też dał nam po kawałeczku połamanego zeschniętego chleba.

Znów wyjazd za bramę. Pojechaliśmy za miasteczko do odległych kopców po ziemniaki i brukiew. Ładując brukiew (ziemniaków już nie było), udało się komuś znaleźć resztki obgniłej marchwi, a nawet wygrzebać spod zamrożonej ziemi cebulę. Po załadowaniu znów ciągnęliśmy wóz do kuchni. Całe szczęście, że droga powrotna wiodła w dół, w przeciwnym kierunku nie moglibyśmy uciągnąć ciężkiego wozu. Ciągnęliśmy i pchaliśmy solidarnie. Po wyładowaniu brukwi pozwolono nam chwilę wypocząć. W tym czasie obaj esesmani podali swoje menażki i po paru minutach otworzyli je napełnione po brzegi, my zaś, po kryjomu przed nimi, otrzymaliśmy po sznitce chleba z wurstem. Podający nam to kucharz wypytywał każdego z nas, skąd jest i skąd przybył. Gdy powiedziałem, że siedziałem na Montelupich, ucieszył się bardzo, powiedział, że on też tam siedział. Obiecał, że zawsze coś mi da do jedzenia.

Następnie zmieniliśmy pojazd. Zabraliśmy małą platformę na gumowych kołach i załadowaliśmy na nią tylko trzy kotły napelnione zupą esesmańską dla postów, pilnujących więźniów o trzy kilometry od obozu. Platforma była lekka i na gumowych kołach, więc nie sprawiało nam trudności ciągnięcie jej nawet pod górę. Gdy esesmani jedli obiad, my spokojnie odpoczywaliśmy. Wiedzieliśmy, że gdy zupa była niesmaczna, zawsze w kotłach trochę jej zostawało. W drodze powrotnej, gdy dziadek szedł za platformą, a młody post przed nami, wybieraliśmy zupę rękami i jedliśmy. Nasz poczciwy dziadek udawał, że tego nie widzi. Powrót do obozu i obiad. Już nie smakowała nam, jak dotychczas, zupa z brukwi. Po obiedzie inną, dużą platformą, zwoziliśmy do obozu kamienie. Były to duże głazy przeznaczone na obozowe drogi. Po codziennej pracy jako siła pociągowa byliśmy potwornie zmęczeni, ale syści. Pierwszy raz od chwili opuszczenia rewiru w Goss-Rosen najadłem się w tym dniu do syta. Położyłem się spać zadowolony z tak świetnej pracy.

Nagle usłyszałem tuż nad uchem cicho wypowiedziane słowa: Czy wy wiecie, jak należy organizować chleb w magazynie? Zgodnie z prawdą powiedziałem, że nie wiemy. – Po prostu z półek, pomyślcie o tym – powiedział ktoś i zniknął jak kamfora.

Jak się później dowiedziałem, był to więzień, który był w grupie poprzednio wożącej chleb. Pomyśleliśmy o tym i już w następnym dniu wiedzieliśmy, jak to należy robić. Półki z chlebem nie stały w równym rzędzie i ustawione były bardzo gęsto. Nie był widoczny cały ciąg wędrowki chleba ani przez magazyniera, ani przez stojącego na zewnątrz posta. Gdy magazynier był zajęty odbieraniem i liczeniem, jeden z nas stojący w widocznym miejscu, udając przypadek, wypuszczał z rąk chleb. W tym czasie inny, zasłonięty przez regały, zdejmował z półki cały bochenek, błyskawicznie łamał na małe kawałeczki i chował pod ubranie. Za chwilę wszystko wracało do normy i słychać było tylko głośne liczenie magazyniera „zwanzig und zwei, und vier, und sechs”. Wreszcie „Alles stimmt”. Znowu dostawaliśmy po kawałeczku chleba. Nie zawsze można to było zrobić, wszystko zależało od tego, gdzie składaliśmy chleb. Czasem udawało się nam co drugi lub co trzeci dzień zorganizować bochenek, jednak też tak bywało, że nie udawało nam się to przez cały tydzień. Nie uważaliśmy tego „organizowania” za okradanie innych.

Widzieliśmy, jak codziennie bauerzy wywozili z magazynu kuchni duże ilości chleba. Mogli to swobodnie robić, ponieważ kuchnia znajdowała się tuż przy drutach sąsiadujących z drogą. Nie był to tylko spleśniały chleb, nie nadający się do spożycia, lecz i zupełnie świeży. Oficjalnie chleb przeznaczony był dla świń, z których wyroby oddawali później bauerzy władzom obozu, nieoficjalnie mówiono, że nie tylko dla świń. Czy jednak była jakakolwiek różnica między tymi czworonogami, a dwunożnymi istotami, które nosiły nazwę człowiek, a nawet dumnie nadczołowiek? O ile tak, to na pewno nie na korzyść tych ostatnich. To z całą pewnością było powodem, że za byle przewinienie pozbawiano chleba nie tylko pojedynczego więźnia, lecz poszczególne bloki, czasem i cały obóz.

Początkowo całość organizowanego chleba zjadaliśmy po kryjomu, pod kranem, popijając wodą pałaszowaliśmy go do ostatniej kruszynki, choć picie nie przegotowanej wody z kranu przeznaczonego do mycia było surowo zabronione. Dopiero, gdy zaspokoiliśmy głód, wymienialiśmy część chleba na ciepłą odzież i skórzane obuwie. Czasem zupełnie bezinteresownie oddawaliśmy swoje porcje zupy. Codziennie, gdy przyjeżdżaliśmy do kuchni, znajomy kucharz dawał nam coś do jedzenia. Szczególnie dbał o mnie i o Sikorkę. Pracując w tak dobrym komandzie, początkowo nie umieliśmy tego maksymalnie wykorzystać. Nie zbieraliśmy „kip”. Kipą nazywano tutaj maleńkie niedopałki papierosów, za które nałogowi palacze oddawali wszystko: odzież, dobre obuwie, nawet całą porcję jedzenia. Zawsze po apelu za jednym z bloków, po kryjomu odbywał się handel wymienny. Dochodziło przy tym do wpadek, oszustw i bójek. Po parę dniach doszliśmy do dużej wprawy, a później nawet do doskonałości w zbieraniu kip, już z daleka dostrzeżliśmy nawet bardzo maleńki niedopałek. Tak sprytnie manewrowaliśmy wozem, żeby nie tylko kipy nie przejechać, lecz jeszcze niespostrzeżenie ją podnieść. Ponieważ nie wolno było się schylać, była to sztuka nie lada. W tym celu do drewniaków z boku powbijane były cienkie, twarde, stalowe druciki. Odpowiedni manewr wozem oraz nogą, bez schylania i narażania się na bicie, i nieuszkodzona kipa znajdowała się w ręku szczęśliwca. Często bywały dni „zerowe”, ale zdarzały się też bardzo dobre. Było to wtedy, gdy udało się nam spotkać na drodze konny wóz naszego rodaka pracującego u bauera. Dyskretnie „gubił” on papierosa, kawałki chleba, a czasem nawet cebulę. Gdy ze względu na czujność naszych postów stało się to niemożliwe, porzucał jedynie duże kipy. Kilkakrotnie otrzymał ostrzeżenie. Za takie czyny groziła mu zmiana pracodawcy i litery „P” na żółtym kwadracie na trójkątny winkiel w obozie koncentracyjnym. Może to go nawet spotkało, bo nagle ktoś inny powoził i spotkania z nami bardzo unikał. Za kipy uzupełniliśmy nasz obozowy ekwipunek o niedozwolone wyposażenie, jak menażki i noże. Menażki były specjalnie płaskie, żeby można było je nosić pod ubraniem, powieszona na szyi. Coraz częściej oddawałem nadwyżki jedzenia innym więźniom, jedynie rodakom.

Pewnego dnia, gdy kapo zostawił nas samych, podeszło do nas dwóch więźniów. Przedstawili się, że są z Komitetu Pomocy i że od następnego dnia co jakiś czas chleb dodatkowo zorganizowany będziemy przekazywać najbardziej potrzebującym. Skąd wiedzieli, że mamy taką możliwość i to robimy, było dla

nas tajemnicą. Zaczęliśmy podejrzewać, że może magazynier lub nasz kapo dobrze o tym wiedzieli, a nawet nam to ułatwiali, bowiem gdy więźniowie odeszli, natychmiast zjawiał się kapo, który miał dziwną minę. Nasze przypuszczenia potwierdziły się, gdy w dniu następnym z naszej grupy zabrano chłopca, który protestował przeciw oddawaniu chleba. Magazynier już dawno mógł zauważyć puste miejsca na regałach.

Zgodnie z umową co trzy dni przekazywaliśmy część zdobytego chleba. O ile zdobycie go było trudne, to jeszcze trudniejsze było jego przekazywanie. Gdyby ktoś to zobaczył, groziłoby nam olbrzymie niebezpieczeństwo. Przekazywanie odbywało się po apelu na naszym bloku. Mogliśmy być obserwowani, gdy spotykaliśmy się z więźniami z innego bloku, gdyż o tej porze każdy obcy budził podejrzenia. Zgodnie z programem dnia woziliśmy chleb, brukiew, zupe i kamienie. Stary post, udając, że nie może iść i że się podpiera, pomagał nam pchać wóz. Nawet handlował z nami, wymieniając swoją porcję ciemnego, twardego chleba na kawałki bułek, które dawał nam piekarz. Kapo był bardzo porządnym człowiekiem i, gdy tylko oddał nas w ręce postów, już do następnej zmiany nic go nie obchodziliśmy. Czasem groził nam palcem, mówił że za dobrze wyglądamy i trzeba nas zmienić.

Ale choćby chciał, nie zdążyłby tego zrobić. Tragicznie skończyła się ta nasza Kanada. Pewnego dnia, już podczas pierwszego wjazdu na teren obozu, wyjątkowo nam się przyglądano. Potem przywieźliśmy brukiew i jeszcze nic się nie stało. Dopiero wówczas, gdy wwoziliśmy kamienie, nastąpiła wpadka. Na szczęście ani Sikorka, ani ja nie przewoziliśmy chleba przez bramę. Zawsze po przywiezieniu do obozu chleba i brukwi, w czasie przerwy obiadowej, to, czego nie zjedliśmy lub było przeznaczone dla Komitetu Pomocy, chowaliśmy. Czasem nas ktoś podpatrzył i po powrocie nie było nic, ale trudno. Pozostali z nas przez cały dzień nosili pod odzieżą swoją część. Gdy wyjeżdżaliśmy po kamienie, ostrzegł nas już wtedy dziadek, że dzisiaj ma być „streng” – kontrola wszystkich komand, wracających z pracy do obozu. Jak się później dowiedziałem, szukano broni, którą rzekomo do obozu mieli wносить więźniowie.

Gdy z kamieniami podjechaliśmy do bramy, poddano nas szczególnej kontroli. Skutki okazały się tragiczne: u Sikorki i u mnie znaleziono w kieszeniach okruchy chleba i resztki obgniłej cebuli. Otrzymaliśmy po kilka uderzeń i kopniaków, mimo to byliśmy zadowoleni, że na tym się skończyło. U innych nic nie znaleziono. Gdy odjechaliśmy kilka kroków, usłyszeliśmy za sobą słowa: „Halt, zuruck” – dwóch z nas było bez płaszczy. Kazano nam zrzucić z platformy kamienie. Między kamieniami strażnicy znaleźli oba brakujące płaszcze, którymi owinięte były dwa bochenki chleba, połamane na drobne kawałeczki. Wtedy zaczęło się piekło: wrzeszcząc straszliwie: „złodzieje, bandyci, świnie, śmierdzące gówna” bito nas, gdzie popadło. Krzyki słychać było w całym obozie. Gdy przestano wszystkich bić, sprawdzono numery więźniów i płaszczy, w które zawinięty był chleb. Właścicieli tych płaszczy zabrano i bestialsko zamordowano, a zmasakrowane ciała położono po obu stronach bramy. Na każdym położono bochenek chleba. Leżały tam przez cały dzień, aż do powrotu do obozu wszystkich komand. Podczas apelu ogłoszono, że więźniowie ci okradali swoich kolegów zabierając chleb. Taki sam los spotka wszystkich, którzy będą tak robić.

Wszyscy dobrze wiedzieli, że to była wierutna bzdura. Każdy otrzymał należną mu porcję, o ile za jakąś karę nie został jej pozbawiony. Z tego powodu nikt nie ucierpiał, najwyżej mniej było dla bauerów, którzy systematycznie wywozili z obozu chleb. Dwóch kolegów, przy których nic nie znaleziono, postanowiono odesłać do macierzystego obozu. Sikorę i mnie wprowadzono do ciemnej wilgotnej celi bez okien. Nikt się nami nie interesował, nikt nie przychodził, nie dostawaliśmy nic do jedzenia ani picia. Nie można było usiąść, opieraliśmy się o siebie. Nie wiem jak długo tam staliśmy, nam wydawało się, że całą wieczność. Faktycznie mogło to trwać dwa albo trzy dni. Gdy już byliśmy zupełnie obojętni na wszystko, wyprowadzono nas na zasypany śniegiem plac. To już chyba będzie koniec z nami – myśleliśmy – albo nas powieszają, albo rozstrzelają. Oślepieni, staliśmy przez chwilę nie podnosząc powiek, a może obawiając się, co teraz zobaczymy. Nie trwało to długo. Obok nas stał jakiś przyzwoity funkcyjny.

– Los, los marschiren weiter (maszerować) – odezwał się do nas. Zaprowadził nas znów na blok 3, ale do innej jego części, niż byliśmy poprzednio. Tam z przerażeniem zobaczyliśmy okrutnie wynędzniałych, ślaniających się muzułmanów. Nie spodziewaliśmy się, że niedługo czeka nas to samo.

Znaleźliśmy się w kompanii „hundert” – w tym obozie było to coś w rodzaju karnej kompanii. O piątej pobudka, mycie się i wymarsz do pracy w lesie oddalonym o kilka kilometrów od obozu. Rano nie otrzymywaliśmy jedzenia ani nawet żadnego picia. Długi marsz, zimno, pragnienie i bicie były naszymi porannymi towarzyszami. Okoliczna ludność była bardzo wrogo do nas nastawiona. Przechożąc przez małe miejscowości byliśmy lżeni, wyzywani od bandytów, a nawet obrzucani śniegiem i kamieniami. Tam też widziałem, jak do strąconych alianckich lotników biegli mieszkańcy z motykami i siekierami.

Pracując w lesie, wycinaliśmy drzewa, obcinaliśmy gałęzie i rąbaliśmy na drobne kawałki. Z niedostępnych miejsc nosiliśmy na plac przy drodze proste i długie odcinki. Ręce marzły a nogi w przemoczonych butach grzęzły w śnieżnej papce. Zdarzało się czasem, gdy ktoś mocniejszy przestał dźwigać,

drzewo spadało na ziemię, przygniatało innych, łamało ręce i nogi. Gdy nosiliśmy w kilku większe kloce, było mi łatwiej, bo byłem niski i ramieniem nawet nie dotykałem go, gdy jednak musiałem sam nosić ciężkie konary, nie mogłem sobie dać rady. Próbowałem wybierać najmniejsze. Zauważył to jeden z postów, zwrócił na mnie uwagę i stale mi coś dokładał do niesienia. Zaczął mnie prześladować, wysyłał mnie do pracy tam, gdzie musiałem stać w wodzie lub topniejącym śniegu, nie pozwalał mi nawet na chwilowy wypoczynek. Po kilku dniach takiej „opieki” opadłem całkowicie z sił i z największym trudem docierałem do obozu. Mimo codziennej ciężkiej pracy nadal rano nie otrzymywaliśmy nic do jedzenia ani do picia, dopiero po powrocie do obozu, późnym wieczorem, wydawano nam zimną, obiadową zupę, kawałek chleba i coś, co miało być kawą czy herbatą. Głodni i spragnieni, nie patrząc co będziemy jeść następnego dnia, zjadaliśmy wszystko. Sporadyczne próby przechowania chleba do dnia następnego kończyły się kradzieżą i jego utratą, nawet jeżeli był najlepiej schowany. Z tych powodów śmiertelność w naszym komandzie była bardzo duża. Prawie codziennie rano ktoś nie mógł się podnieść z posłania i nie wychodził do pracy. Już w drodze do lasu nie mogło samodzielnie iść wielu więźniów i mimo udzielanej przez kolegów pomocy, padało na drogę i ginęło. Zbierano ich dopiero wtedy, gdy samochodami jechano po drewno.

Dzięki „opiece” ryżego posta, ja również szybko stałem się muzułmaninem. Ledwie powłóczyłem opuchniętymi nogami, bolało mnie wszystko, zwłaszcza kręgosłup i ramiona od noszenia ciężkich konarów. Zdawałem sobie sprawę z tego, że lada dzień nie dojdę do obozu. O ile upadnę w drodze powrotnej, to mogę liczyć na pomoc innych więźniów. Wiedzieli bowiem wszyscy, że gdy w drodze powrotnej więzień upadnie, to czy żywego, czy umarłego, muszą go przynieść na swoich barkach do obozu, woleli więc takiemu muzułmaninowi udzielić pomocy, niż go nieść do obozu.

Tego dnia rano z trudem dotarłem do lasu. Byłem pewien, że w tym dniu nastąpi już koniec. Żal było umierać. Ale szczęście znów uśmiechnęło się do mnie. A może to nie szczęście, lecz silna wola życia, nie rezygnowania z niego, dodała mi odwagi do czynu, który uratował nie tylko mnie, lecz też pozwolił przetrwać innym. Gdy przenosiłem konary drzew przez mały górski strumyk, wpadłem do wody. Niepowodzeniem skończyły się wszystkie moje próby wydostania się na brzeg. Gdy tylko udało mi się wydostać, ryży post z satysfakcją wypychał mnie z powrotem. W czasie tej zabawy w kotka i myszkę zarządzono zbiórkę. Wszyscy byli tym bardzo zaskoczeni. Nie tylko my, ale i posty. Co o tej porze może oznaczać zbiórka? Może to już koniec wojny, co to może być? Na domysły nie było czasu. Ryży przestał się znęcać nade mną i poprowadził mnie na miejsce zbiórki.

Na placu, na który znosiliśmy drewno, stała czarna limuzyna. Siedział w niej wysoki oficer SS. Miał jeszcze nie wygojone rany i blizny na całej twarzy, był blady i bardzo wymizerowany. Widocznie gdzieś dobrze oberwał, ale jeszcze nie tyle, ile mu się należało – myślało wielu z nas. W dwuszeregu stanęliśmy na skraju lasu. Odpowiedzialny za nasze komando esesman zameldował stan podkreślając, że od rannego apelu ubyło dwóch więźniów. Oficer zażądał szczegółowego wyjaśnienia, co wprawilo w duży kłopot raportującego. Długo się tłumaczył i wyjaśniał. Oficer popatrzył po nas dziwnym wzrokiem i kazał powiedzieć, że jest nowym komendantem obozu. Następnie kazał zapytać, czy mamy jakieś uwagi odnośnie pracy i życzenia.

Wiedziałem, że taki więzień, co się poskarży na warunki obozowe albo od razu zginie, albo w krótkim czasie zostanie wykończony, zaś w oficjalnych dokumentach – o ile takie będą – znajdzie się uwaga: „zastrzelony w czasie próby ucieczki” lub „zmarł na atak serca”. Ale wiedziałem również, że w tych warunkach nie przeżyję nawet jednej doby. Postanowiłem postawić wszystko na jedną kartę, wystąpiłem z szeregu i kalecząc język niemiecki, powiedziałem:

– Nasza praca jest bardzo ważna nie tylko dla gospodarki, lecz również dla obronności Rzeszy. Drzewa, które wycinamy i znosimy na plac, przeznaczone są w dużej części dla wojska. Staramy się dobrze pracować, ale warunki w których pracujemy nie pozwalają osiągać dobrych wyników. Przez cały dzień nie otrzymujemy nic do jedzenia ani do picia, dopiero po zakończeniu pracy wieczorem. Tak do pracy, jak i z powrotem idziemy pieszo.

Oficer słuchał cierpliwie, nie pozwalając mi przerwać. Obawiałem się, że nic nie rozumie z mojego belkotu. Sądziłem, że może mnie zastrzeli osobiście lub dobrze mi znanym ruchem ręki kaze to zrobić innym, lecz nic takiego się nie stało. Zapytał mnie, czemu jestem cały „in Schlamm und nass” (ubłocony i mokry). Milczałem. Wtedy odpowiedział mu coś ryży esesman. W potoku słów zrozumiałem tylko: brudas, świnia, leń i nierób. Ale to nie przekonało komendanta, który ostro przerwał wypowiedź ryżego i zapytał czy to, co powiedziałem, potwierdzą inni. Odwróciłem wzrok na twarze wymizerowanych, przestraszonych, półżywych istot. Milczeli. Po raz drugi zapytał dodając, że nikomu się nie stanie żadna krzywda, gdy powie prawdę. Teraz dopiero cichy pomruk potwierdził moją wypowiedź. Kilku najbardziej wycieńczonych, ślaniających się na nogach muzułmanów stanęło obok mnie. Kazał zapisać nasze numery i schował kartkę do kieszeni munduru. Powiedział jeszcze coś, czego nie dosłyszałem oraz skończył zdanie słowami: „Nie życzyłbym sobie, żeby któremuś z nich przydarzył się jakiś nieszczęśliwy wypadek”. Porozmawiał chwilę z esesmanem odpowiedzialnym za nasze komando i odjechał.



Jak się później dowiedziałem, nie był to nowy komendant obozu, lecz ktoś jeszcze wyżej postawiony w hierarchii obozowej.

Przyjechały samochody po drewno. Nie kazano nam ich załadować jak zwykle, lecz kazano wsiadać i zostaliśmy odwiezieni do obozu. Następnego dnia otrzymaliśmy śniadanie, jakie przysługiwało ciężko pracującym: kawę i porcję chleba. Do pracy zawieziono nas samochodami, razem z nami przywieziono obiadową zupę. Ryży unikał mnie, a inni esesmani nie zwracali uwagi na to, że więźniowie pracowali ślamazarnie, jednak nie staraliśmy się ich prowokować. Po zakończeniu pracy znów samochodami zawieziono nas do obozu. Wieczorem w umywalni kilku więźniów uściskało mnie dziękując za to, co dla wszystkich uczyniłem. Dopiero w nocy uzmysłowiłem sobie, czym mogło się skończyć moje wystąpienie. Nie mogłem jeszcze uwierzyć w to, co się stało.

Od tamtego dnia warunki w naszym komandzie uległy takiej poprawie, że chociaż to była karna kompania, to było lepiej, niż w całym obozie. Oprócz normalnego jedzenia zaczęliśmy je na swój sposób organizować. Różnymi znanymi tylko sobie sposobami zdobywaliśmy kawałek brukwi lub częściowo obgniłą marchewkę, do tego dodawaliśmy jeszcze maleńki kawałeczek zostawionej ze śniadania margaryny, trochę liści i w przerwie obiadowej gotowaliśmy wspaniałą zupę. Woda była ze śniegu, a zupa bardzo często zawierała tylko same liście z drzew. Raz ktoś zdobył trochę zmieszanej z ziemią soli. Wtedy to była zupa! Gdyby teraz jakaś zupa tak mi smakowała... Zupy te gotowaliśmy w blaszanych menażkach, które wbrew przepisom nosiliśmy pod ubraniem zawieszona na szyi. Tak minął tydzień względnego spokoju. Tak jak w Gross-Rosen, gdy mi było za dobrze, to musiało się coś wydarzyć. W obozie nagle zapanował bałagan, wszy rozpanoszyły się na dobre, wzrosła zachorowalność. Coraz częściej brakowało nie tylko zupy, ale i lury (kawy), a czasem i wody. Coś złego czaiło się wokół obozu.

W takiej atmosferze nadeszły święta Wielkanocne. Cieszyliśmy się, że w tych dniach będziemy mieli dzień wypoczynku, a może nawet coś lepszego dostaniemy do jedzenia. Wiosna, która nadchodziła wraz ze Świętami, niesła ochotę i nadzieję na przetrwanie. Zawsze to łatwiej przeżyć głód i inne przeciwności, gdy jest ciepło i sucho, w razie głodu można przecież zjeść kawałek liścia lub trawę. Radością napawały nas coraz częstsze przeloty całych eskadr alianckich samolotów. Nocą dało się słyszeć ciężkie dudnienie armat. Teraz to już na pewno wyzwolenie jest bliskie. Może za dzień, może za dwa będziemy wolni. Byliśmy tego pewni.

Trudne to do zrozumienia, ale w tym czasie wzrosła karność w obozie. Ostatkiem sił, z największym wysiłkiem, ludzkie trupy starały się nie podpaść i wytrzymać do wyzwolenia. Wyzwolenie jednak nie przyszło. To, co nas czekało, było prawdziwym piekłem, a może nawet czymś gorszym niż to, co przez to słowo rozumiemy. Wielu, bardzo wielu z tych umęczonych więźniów, trwających nadludzkim wysiłkiem, czekających na wolność, tej wolności nie doczekało, zginęło tuż przed jej drzwiami, w okropnych cierpieniach.

Pierwszego kwietnia, w pierwszy dzień Świąt Wielkanocnych, poranny apel odbył się normalnie. Wyznaczony po zupę, zadowolony poszedłem do kuchni, licząc na spotkanie ze znajomym kucharzem. Nie widziałem się z nim od czasu, gdy opuściłem Brotfahrekommando. W kuchni już panował olbrzymi bałagan. Wydawano zupę przewidzianą dla esesmanów oraz chleb, a nawet cukier. Oczywiście z takiej okazji nie można nie skorzystać tym bardziej, że spotkałem znajomego kucharza. Przy jego pomocy napełniłem ukrytą pod ubraniem menażkę gęstą zupą z dużą ilością mięsa, ziemniaków i ryżu lub kaszy. Dał mi również sporo cukru w kostkach, którymi wypełniłem kieszenie, jeszcze do czapki włożyłem kilka kawałków chleba. Tak zaopatrzony w żywność przyniosłem zupę do barku. Mimo pośpiechu, nie udało się całej wydać.

Zarządzono apel: „Wszyscy na apelplatz”. Przez wszystkie głośniki słyhać było „los, los, schnell”. Pod karą śmierci nie wolno było pozostawać w barakach, zaczęto wypędzać nawet chorych. Jeszcze na placu wydano trochę chleba, ale to szczęście spotkało tylko tych, którzy stali najbliższej magazynu. Uformowano kolumny i poprowadzono nas na dworzec kolejowy.

To, co tam zobaczyłem, śni mi się jeszcze po nocach dzisiaj. Budzę się zlany potem, pełen łęku, mimo że minęło już od tej chwili wiele lat. Zewsząd słyhać było jęki bitych i mordowanych heftlingów, krzyki esesmanów i ujadanie psów, do krytych wagonów ładowano więźniów. Było ich coraz mniej na peronach, ale i miejsca w wagonach kończyły się bardzo szybko. Po zapełnieniu ostatniego wagonu zaczęła się dokładka. Do każdego wagonu dokładano po sześciu więźniów. Nie było już miejsca. Ci, którzy byli dodatkowo wpychani, narażeni byli z obu stron: z jednej esesmani bili i kazali wchodzić, a z drugiej stłoczeni do maksimum więźniowie, wypychali ich z powrotem na perony. Zabawa ta ciągnęła się tak długo, aż albo udało się wcisnąć do przepełnionego do granic możliwości albo taki nieszczęśnik upadł na tory i już nie miał sił się podnieść. Przecież do każdego wagonu ładowano po 100, a nawet jak się udało 120 ludzi. Leżących na torach i peronach esesmani bili i katowali na śmierć. Przy załadunku zginęło bardzo dużo więźniów. Leżeli jak muchy obok torów i na peronach. Co chwila słyhać było strzały esesmanów dobijających tych, co jeszcze żyli. Dla nas, przyprowadzonych w ostatniej chwili, zabrakło wagonów. Z trwogą czekaliśmy, co się z nami stanie. O tym, że uda się

jeszcze gdzieś nas dopchać, nie było mowy. Przecież nie zostaniemy na peronach, ani też nie wrócimy do obozu. Może nas tutaj zastrzelą – myśleliśmy. Po kilku minutach podstawiono kilka wagonów. Z lękiem czekałem na swoją kolej. Zeby tylko nie wchodzić do wagonu, gdy jest już prawie całkowicie zapełniony. Już, już wydawało mi się, że tak będzie. Ale nie – jestem w drugiej piątce do pustego jeszcze, chyba przedostatniego wagonu. Odetchnąłem z ulgą.

Po wejściu udało mi się zająć miejsce w kącie. Z daleka widziałem w tym rogu małą szparę w deskach. To chyba będzie dobre miejsce – pomyślałem. Wagon szybko się zapełnił, a tu nadal słychać słowa „rein, rein” (wchodzić, wchodzić) i odgłosy snych uderzeń. W wagonie powstały trzy warstwy. Najślabi leżeli pokotem na podłodze, prawie bez sprzeciwu, pobici przez esesmanów i poturbowani przez swoich kolegów już w wagonie, jak gdyby pogodzeni ze swoim losem. Siedzieli na nich najmocniejsi, narażeni na podrapanie i pogryzienie przez tych rozwścieczonych więźniów. Nielicznym udało się zdobyć miejsce przy ścianach, najlepsze były miejsca w rogach wagonu. Okropne przekleństwa w różnych językach świata łączyły się z głośnym przejmującym płaczem i wzywaniem Pana Boga. Jak stado dzikich zwierząt tratowano się wzajemnie, duszono i łamano kości. Tak było podczas załadunku do wagonu i przez pierwsze dwa, a może trzy dni jazdy. Potem zrobiło się luźniej. Coraz mniej więźniów stało, coraz więcej trupów leżało na podłodze. Potworny głód, a zwłaszcza pragnienie, zbierały obfite żniwo. Jeżeli ktoś nieopatrznie ujawnił, że posiada jakieś zapasy żywności, to musiał je oddać silniejszemu. Jeżeli nie chciał oddać, dochodziło do szarpaniny, narażał się na bicie, a nawet śmierć.

Co się stało z tymi, którzy jeszcze nie tak dawno udzielali innym pomocy? Czy zły duch ich opanował, czy poszaleli, że zachowują się gorzej niż wilki. Nie mogłem tego zrozumieć. Pragnienie było tak duże, że wielu piło swój mocz (zwłaszcza Francuzi). Wagonu nie otwierano. Esesmani mówili, że w naszym wagonie zacięły się drzwi i nie można ich otworzyć. Według byłego więźnia Stanisława Wilmiewskiego, dwóch ostatnich wagonów nie otwierano za karę, ponieważ mimo napomnień więźniowie w nich zachowywali się najgłośniejszy. Krzyki „wody, wody” słyszeli nawet mieszkańcy domów, znajdujących się obok torów kolejowych.

Nadal nie podawano nic do jedzenia ani picia. Podobno tylko do paru wagonów wrzucono kilka brukwi. Ktoś słysząc wołania o wodę i okropne jęki umierających z pragnienia, powiesił na ścianie wagonu nad zakratowanym oknem jakieś naczynie napełnione wodą, przez kratę zaś przerzucił kawałek nasączonej szmaty. Tą szmatą sączono prosto do ust minimalne ilości wody, a raczej wilgoci. Oczywiście z tego skorzystali tylko nieliczni, najsilniejsi. Po kilku dniach w wagonie panował ogromny smród odchodów i rozkładających się ludzkich ciał.

Starłem się zachowywać tak, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Kuciałem w swoim kąciku i korzystałem z dopływu świeżego powietrza przez szpary w ścianie wagonu. Byłem tak mały i drobny, a może to jakiś odruch litości spowodował, że nie odrzucono mnie z tak dobrego miejsca. Bardziej prawdopodobne było to, że obok siedział – opierając od czasu do czasu swoje ciężkie bary o mnie – silny, duży więzień. Z różnych zakamarków ostrożnie wyciągał okruchy chleba i długo je żuł. Kilkakrotnie próbowano dobrać się do jego kieszeni i zabrać tę resztkę okruchów. Długo nie dał się zaskoczyć, gdy ktoś próbował to zrobić, uderzał tylko raz i natręt już się nie podnosił z podłogi. Zasłonięty przez niego, nie zauważony przez nikogo, korzystałem ze swoich ukrytych zapasów. Ostrożnie wkładałem rękę do menażki i wygarniałem skisła papkę, która niegdyś była smaczną zupą. Ale zupa szybko się skończyła, później skończył się chleb, a w końcu i cukier. W czwartym dniu nie znalazłem nic do jedzenia ani w menażce ani w czapce, ani w żadnej kieszeni. A jednak jedzenie, które dostałem na drogę od kucharza, pomogło mi przeżyć osiem dni podróży w zamkniętym wagonie. Tylko jemu zawdzięczam przeżycie tych koszmarnych dni.

Teraz, gdy już nie miałem nic do jedzenia, głód i pragnienie zaczęły mocno dokuczać. Niemilo-siernie bolała mnie głowa, wydawało się, że lada moment rozpadnie się na dwie części. W żołądku żar, w gardle zasycha i dusi. Zacząłem tracić przytomność. Wydawało mi się, że jestem w domu. Siedzimy wszyscy wokół stołu, w misce gorący barszcz ze skwarkami. Ale dlaczego wszyscy jedzą tak szybko, chyba dla mnie nic nie zostanie. To znów widzę, jak brat Tadek ciągnie ze studni wodę. Wyciąga pełne wiaderka i poi konie – Daj, daj chociaż kropelkę – ale on chyba nie słyszy, poi dalej. Siwy tak pije, że aż mu grdyka się trzęsie, może jednak trochę zostawi. Zjawa niknie, nie ma miski z barszczem ani wiadra z wodą. Jest wagon, a w nim trupy, trupy i hieny ludzkie. Nie wolno okazać słabości, dać się zaskoczyć. Trzeba być czujnym dzień i noc. Nagle stwierdziłem z przerażeniem, że moja żywa zasłona, duży hefting, leży martwy, ma rozpruty bok i cały brzuch. Przez moment nieuwagi stracił resztki jedzenia i życie. Zamykam ze wstrętem oczy.

Znów jakieś zjawy. Wydaje mi się, że ktoś chwyta mnie za gardło, dusi, chłepce moją krew i zjada moją jeszcze ciepłą wątrobę. Trzeba się bronić – zjawa znika. Brr! Półprzytomnymi oczami patrzę na leżącego obok więźnia. Widzę gołe kości na pośladkach i brakujący płac ciała. Czyżby to było możliwe? Czy to nie przywidzenie? Uwierzyłem w to dopiero znacznie później.

Przez cały czas podróży, nie chcąc tracić zbędnie energii, starałem się nie ruszać. Może dlatego inni sądzili, że jestem niczego nie posiadającym zimnym trupem i dali mi spokój. Coraz rzadziej dochodziło do szamotaniny. Powoli gasło życie w wagonie. Często słyszeliśmy warkot samolotów i wybuchy bomb. Raz (chyba w okolicy Zelle) bomby spadły bardzo blisko. Wagon przechylał się raz w jedną, raz w drugą stronę. Ach, żeby choć jedna z tych bomb spadła na nasz wagon. Ale nie, nawet ślepy los nie miał nad nami litości, nie chciał zakończyć okropnych męczarni, jakie znosiły resztki brudnych, zawszonych strzępów ludzkich.

Bombardowano stację kolejową, na której stały nasze wagony. Gdy skończyło się bombardowanie, otwarto drzwi wagonu, których dotąd nie można było otworzyć. Kazano wychodzić. Z masy leżących prawie martwych istot podeszło lub podczołgało się kilku więźniów. Ale przy drzwiach stał post, który tylko mocniejszym pozwolił wyjść. Przez otwarte drzwi wdarło się świeże powietrze. Zobaczyliśmy leżące obok torów kupki brukwi i różne, nawet drewniane pojemniki napelnione jakimś płynem. Czyżby miejscowa ludność słysząc nasze jęki, nagle chciała nam pomóc? Czy w obliczu klęski szukała usprawiedliwienia? Mimo wielu prób nie udało mi się dowiec do drzwi, zanim zostały zamknięte. Wróciłem na swoje miejsce. Nikt nie wiedział, po co zabrano tych kilkunastu więźniów. Staliśmy tam prawie cały dzień. Nawet tej przygotowanej dla nas brukwi ani wody nam nie dano. Wrócili zabrani więźniowie, którzy naprawiali uszkodzone podczas bombardowania tory, ale nie pozwolono im wejść do wagonów, zabrano ich do naprawy mostu czy drogi. Po pewnym czasie serie automatów, jakie usłyszeliśmy, świadczyły o losie, jaki ich spotkał. Według Wilniewskiego próbowali oni uciekać i wszyscy, z wyjątkiem trzech, zostali zastrzeleni. Osobiście nie wierzę, że w takim stanie ktoś był w stanie próbować uciekać. A ja tak żałowałem, że nie udało mi się dojść do drzwi i wyjść z wagonu. Na zewnątrz było świeże powietrze, trawa a może i woda. Zazdrościłem tym, co wyszli – jak mi się zdawało, będą bliżej wolności. I faktycznie znaleźli wolność na zawsze, spoczywają tam gdzieś w lesie przysypani piaskiem, szumią im obce sosny lub brzozy, nie mają nagrobków ani krzyży, nikt z bliskich nie wie, gdzie leżą. Nikt nie zapalił świeczki w Dniu Zmarłych, nie położył wiązanek kwiatów.

A woda i brukiew została przy torach, tyle brukwi... W nocy pociąg ruszył. Huk dział był coraz mocniejszy, w pewnej chwili wydawało się, że słyszemy odgłosy niedalekiej bitwy, z początku ciche, potem coraz głośniejsze. Obok huku armat i wybuchów bomb słychać było wyraźnie serie z broni maszynowej. Jak szybko się to zaczęło, tak też nagle ucichło. Pociąg powoli, ale stale posuwał się na północny zachód. Po ciszy, jaka panowała w wagonie wydawało mi się, że chyba już nikt nie żyje. Był to ósmy dzień podróży. Zgrzytnęły hamulce i pociąg zatrzymał się, dały się słyszeć głosy esesmanów. Kolejno otwierano drzwi wagonów. „Raus, raus” – ryczeli esesmani, bykowcami popędzając ślaniających się niedobitków. Powoli, przeważnie na czworakach, dowlekli się do drzwi pozostali przy życiu i jak kłody wypadali na tory. Tych, co wypadali, a nie mogli się już podnieść, ciągnięto za ręce lub nogi na stos ciał, który drgał i ruszał się, bo między trupami znajdowali się jeszcze żywi. Podobno zarówno tych martwych, jak i tych jeszcze dających oznaki życia, zakopano. Dużo później dowiedziałem się, że ten stos polano jakimś łatwo palnym płynem i podpalamo, aby zatrzeć wszelkie ślady. Takich stosów leżało kilka, ponieważ nasz pociąg nie był jedynym, który tutaj przybył.

Z trudem udało mi się dopełznąć do drzwi wagonu. Wypadłem na tory i bardzo się potłukłem. Całe ciało bolało mnie okrutnie, wydawało mi się, że jestem jedną wielką raną. Po kilku nieudanych próbach podniosłem się i stanąłem w kolumnie. Z mojego wagonu wyszło najmniej więźniów, około dziesięciu, ale kilku z nich upadło na tory. Z wagonów wyrzucano okropnie wyglądające zwłoki więźniów. Pokaleczone, poobgryzane aż do kości, oblepione kałem resztki tych, na których gdzieś pod Moskwą, Bratysławą lub w naszej Polsce czekały z nadzieją matki, żony, dzieci. Nie było im dane wrócić, zginęli straszną śmiercią w ostatnich dniach wojny. A słońce w tych dniach świeciło wyjątkowo, piekło niemiłosiernie, potęgując nasze pragnienie. Żaden Bóg, żadne siły przyrody nie wyraziły sprzeciwu, swego gniewu. Kolumna ruszyła. Z tyłu, z boku i z przodu szli esesmani z bronią w ręku gotową do strzału i psami na smyczy. Wycieńczeni muzułmanie padali ze zmęczenia. Inni, potykając się o nich, przeklinali okropnie, kopiając i tratując przeszkodę. Nikt nikomu nie pomagał, nikt nikogo nie podnosił. Bez przerwy z końca kolumny słychać było pojedyncze strzały. To dobijano tych, którzy upadli i nie mogli dalej iść. Nie wiem, nigdy nie sprawdziłem, jaka długa jest droga ze stacji kolejowej do obozu w Bergen-Belsen. Dla mnie była to najdłuższa droga w życiu. Siły całkowicie mnie opuściły, szedłem jak w transie, potrącając idące obok kościotrupy. Droga wiodła przez piękny, mieszany las. Słychać było wesoly świergot ptaków, drzewa wypuściły już pierwsze listki, polany pełne były zieleni i wiosennego kwiecia. Od lasu ciągnęło wilgocią i przyjemnym chłodem. Aż do dzisiaj nie wiem, czy to była zjawa, pobożne życzenie czy rzeczywistość.

Nagle kolumna drgnęła. Szeregi idące z przodu ruszyły szybciej, prawie zaczęły biec. Posypały się serie z broni maszynowej. Drogę przecinał niewielki strumyczek lub rów odwadniający. Ze względu na wiosenną porę płynęła nim struga wody. Do tego skarbu, nie bojąc się razów i strzałów, runęły pierwsze szeregi. Tratowano, wgniatano w mul tych, co dopadli wody pierwsi. Pito razem z liśćmi, piaskiem

i wszami brudną ciecz. Po tylu dniach pragnienia nie było siły – chyba tylko śmierć – która mogłaby nas zatrzymać. Porwany falą runąłem do strumyka.

Esesmani strzelali nadal, ale już chroniła nas następna warstwa więźniów. Udało mi się tylko zanurzyć usta w brudnym, zmieszonym z piaskiem płynie i cedząc przez zęby, wypić parę kropel. Nie wiem jak długo to trwało i ilu więźniów przypląciło to życiem. Z trudem doprowadzono kolumnę do porządku. Przy strumyku i na drodze leżały trupy zatratowanych, zagniecionych i zastrzelonych ludzi. Woda zmieniła kolor na brunatno-czerwony. Ale nas to nie mogło poruszyć, byliśmy obojętni na krew i trupy, instynkt skoncentrowany był tylko na obronie swojego życia.

Przeszliśmy jeszcze kilkaset metrów i ukazał się naszym oczom widok, który rokował nadzieję na lepsze. Zobaczyliśmy duże, murowane bloki. Panujący tutaj ład i porządek oraz dobry wygląd więźniów stwarzały pozory, że wszystko co najgorsze, mamy już za sobą. Sądziliśmy, że nareszcie napijemy się do woli, dostaniemy coś do jedzenia i jakieś miejsce na pryczy. Lecz nie dla mnie i jeszcze kilkudziesięciu, a może nawet kilkaset więźniów były te bloki i takie warunki. Po wkroczeniu do obozu do pomocy esesmanom dołączyli funkcyjni więźniowie. Kilkudziesięciu więźniów wyłączono i postawiono przed jednym z bloków. Dopiero w październiku 1996 roku spotkałem byłego więźnia, Józefa Kurpińskiego z Krakowa, który szczęśliwie znalazł się w tej grupie. Były to bloki wcześniej zajmowane przez SS, a w ostatnich dniach, w związku z przepełnieniem i opuszczeniem obozu przez część esesmanów, udostępnione więźniom. Jeszcze ludziliśmy się, że umieszczą nas w następnych murowanych blokach. Niestety, minęliśmy je i wprowadzono nas na prowizorycznie ogrodzony plac. Wyglądało na to, że ogrodzenie robione było w pośpiechu, na co wskazywały nawet nie ociosane słupki ze świeżego brzoźowego drewna i to, że druty nie były pod napięciem elektrycznym. Nie było tam dobrze utrzymanych dróg, murowanych bloków ani silnych i zdrowych więźniów. Na placu stały dwa drewniane baraki bez drzwi i okien. Cały teren wokół baraków zasłany był ledwie ruszającymi się mużłmanami i trupami. Nie znaleźliśmy tutaj ani kropli wody, ani nawet cienia, chroniącego od żaru słońca. O wejściu pod dach tych baraków nie było mowy, zapełnione były do maksimum.

Zupełnie wyczerpani, kompletnie załamani, położyliśmy się na placu. Wieczorem pojawiło się mnóstwo funkcyjnych z kmyblami i kijami w ręku. Opróżniono z żywych i martwych jeden barak, ustawiono w kolejce tych, co jeszcze dali radę się podnieść i wydano pierwsze po tylu dniach jedzenie – jeden chleb na dwunastu. Nie wiem, ile ten chleb ważył i z czego był zrobiony. Olbrzymi głód nie pozwalał doszukać się smaku. Zęby ruszały się w dziąsłach, z których wydzielala się śmierdząca ropa, każdy ruch szczękami powodował ogromny ból. Biada temu, kto z chlebem nieopatrznie odszedł w jakiś zakątek. Gdy ktoś to zobaczył, próbował na siłę odebrać mu te resztki. Broniący tej odrobiny chleba często ginął bezlitośnie zamordowany, w najlepszym razie tracił chleb, a jako zapłatę otrzymał kilka siniaków, nie mówiąc już o ordynarnych, w różnych językach świata przekleństwach. Kto nie miał siły by się podnieść i stanąć w kolejce, nie otrzymał tej odrobiny chleba.

Pierwsza noc, jak i następne, była okropna. Leżeliśmy pokotem pod gołym niebem, między zwłokami, które tam leżały od paru dni. Okropny smród zatykał oddech, dusił w gardle. Wszy na naszej odzieży tworzyły zwartą warstwę, która falowała jak jedna całość. Od trupa do trupa całymi watahami wędrowały szczury, przepędzając chmary wstrętnych much, które wchodziły do ust, nosa i oczu martwych, jak też jeszcze żywych, ale nie mających już dosyć sił, by je odpędzać. Jęki, odgłosy konania, modlitwy, przekleństwa i złorzeczenia matkom, że urodziły dzieci, narażone na tak okropne cierpienia, uzupełniały te chwile grozy.

Chwilami zasypiałem. Budziłem się zlany potem. Znow ta przekłeta zjawia, ktoś nachyla się nade mną, dusi, morduje. Próbuje krzyczeć, ale słowa nie mogą przejść przez zaschnięte gardło.

Tak minęła pierwsza, lecz nie ostatnia noc w Bergen-Belsen – miało jeszcze być ich sześć. Rano zjawili się funkcyjni, wybrali tych, którzy jeszcze mogli trzymać się na nogach i kazali im zwlekać do dołów psujące się na słońcu ciała. Żywy trup, mużłmanin, włókł na kawałek sznurka lub pasku, za nogi albo inne części ciała swojego umarłego koleżę. Niejednokrotnie taki tragarz, zamiast wepchnąć trupa, sam wpadał do dołu i nie miał siły wyjść. Zostawał tam na zawsze, wołanie o pomoc nie zdawało się na nic. Nikt nie próbował go wyciągnąć, nikt nie chciał ryzykować swego życia, by tam wejść. Rezygnacja, brak wiary w to, że się przeżyje, kompletne załamanie, były moim zdaniem przyczyną wielu zgonów w obozie.

Trudno opisywać dzień po dniu, jakie upływały. Nie było kropli wody, żdźbła trawy. Ostatkiem sił grzebaliśmy w ziemi, a raczej w piasku małe nory i wdychaliśmy wilgotne powietrze. Najbardziej bolało nas to, że od właściwego obozu odgradzono nas kolczastym drutem, a tam jeszcze nie było tak źle, był dach nad głową i woda. Przez ogrodzenie podawano czasem swoim znajomym trochę jedzenia i wody. Kilka razy, nie pamiętam ile, przez pilnie strzeżoną furtkę podano w różnych naczyniach coś, co się miało nazywać zupą. Była to gęsta, śmierdząca papka z brukwi, mająca okropnie gorzki i mdły smak. Nie gasiła pragnienia, nie zawsze też udawało się ją donieść i wydać. Zaraz po przeniesieniu jej przez furtkę dzielącą nas od głównego obozu, zaczynał się szturm. Nie było siły, która by mogła powstrzymać zgłodniałe, półdzikie zwierzęta. Nie pomagały razy, rozrywano drewniane naczynia i zupa wylewała się

na ziemię. Brudnymi, nie mytymi od tygodni rękami zbierano ją i jedzono. Odbierano je sobie walcząc zawzięcie o to, co zostało w porozrywanych naczyniach. Zlizywano prosto z ziemi resztki zmieszane z piaskiem, wszami i krwią poranionych kolegów. Nie umiałem ukryć swego obrzydzenia na takie upodlenie, ale rozumiałem współwięźniów.

W Nordhausen nie mogłem jeść obierek z ziemniaków i mimo piekielnego głodu, oddawałem innym, którzy zjadali je ze smakiem. A przecież żyłem w tych samych warunkach. Tak samo tutaj. Mimo że był głód jeszcze większy, nie byłem w stanie zbierać z ziemi i jeść zmieszanej z piaskiem brukwi. Może dlatego właśnie żyję. Raz grzebiąc w piasku, znalazłem jakąś tubkę. Sądząc, że jest w niej coś do jedzenia, wycisnąłem nieco na język. W ustach poczułem trochę wilgoci, jednak wstrętny smak spowodował, że pluję tym świństwem długo. Była to chyba pasta do zębów.

Nie mogę uwierzyć tym byłym więźniom, którzy we wspomnieniach opisują koleżeńską pomoc w najtrudniejszych chwilach obozowego życia. Może po prostu opisywane przez nich sytuacje nie były aż tak dramatyczne, bo przecież i my w czasie podróży do Nordhausen udzielaliśmy sobie pomocy, a może właśnie tutaj, po ośmiodniowej podróży, więźniowie potracili zmysły i nie kontrolowali swego zachowania. Pewnego dnia funkcyjni pobili kijami na naszym placu więźnia, który miał przy sobie miskę z ciemną, podobną do rosółu mazią. Był to ludzki smalec.

Front bardzo powoli, ale systematycznie zbliżał się do obozu. Od kilku dni ziemia drżała od potężnych wybuchów, liczne eskadry ciężkich samolotów, już bez osłony, przelatywały na niedużej wysokości. W wieżach wartowniczych zmieniono obsadę, miejsca esesmanów zajęli Madziarowie. Pod lasem widzieliśmy dużą ilość wojska i esesmanów. Mówiono, że mają nas zniszczyć ogniem z miotaczy. Zupełnie opuściły mnie siły. Nie mogłem już wstać bez czyjejś pomocy, podnosiłem tylko głowę i na obolałych łokciach część tułowia.

A właśnie wtedy nadarzyła się okazja zdobycia czegoś do jedzenia. W prowizorycznym ogrodzeniu zrobiono mały otwór. Między nim a wieżami wartowniczymi, na których byli Madziarowie, znajdował się porośnięty trawą pas ziemi. Przez ten mały otwór wychodzili więźniowie, jedli trawę, korzenie i ogryzali gałązki krzewów. Pilnujący nas Węgrzy nie reagowali. Dopiero, gdy ktoś za bardzo się zbliżył do wież wartowniczych i rozstawionych gęsto posterunków, odpędzali śmiałka wymachiwaniem rąk i krzykiem. Gdy i to nie pomagało, bojąc się o własną skórę, strzelali w górę, a nawet do więźniów. Zdobyłem się na ogromny wysiłek. Powoli, metr za metrem przesuwałem się w kierunku dziury w ogrodzeniu, by przedostać się na drugą stronę. Wreszcie dotarłem do celu. Próbowałem właśnie się podnieść i przetoczyć przez kolczaste druty, gdy ktoś szarpnął mnie za nogi i pociągnął do tyłu. Ostre kolce poraniły mi ręce i piersi. Żal ścisnął serce. Taki ogromny wysiłek na nic, już chyba nie znajdę tyle sił, aby ponownie się podnieść i przedostać na drugą stronę. – A żebyś zdechl – pomyślałem. Z wściekłością patrzyłem, jak tych dwóch drani, którzy mnie odrzucili, przeszło swobodnie przez otwór i ruszyło tam, gdzie kilka skulonych postaci grzebało w ziemi, od czasu do czasu podnosząc coś do ust. W tym momencie usłyszałem strzały. Tylko ci dwaj, którzy odsunęli mnie od przejścia, upadli na ziemię, posiekam kulami. Widocznie całe zdarzenie obserwowali znajdujący się na wieżach wartownicy i czyn ten uznali za nikczemny, że aż godny śmierci.

W pierwszej chwili nie było mi ich żal, a nawet pomyślałem – macie dranie, to za mnie. Ale szybko się zreflektowałem i zrobiło mi się bardzo smutno. Może faktycznie to przeze mnie zginęli już u progu wolności. Po chwili, przy pomocy jakiegoś jeszcze wykazującego ludzkie odruchy więźnia, udało mi się przedostać za ogrodzenie. Wygrzebałem i zjadłem trochę obgniłych zeszłorocznych liści i kilka tegorocznych ździebeł trawy, była soczysta i świeża. Wszystkie krzewy były już obdarte z jeszcze nie rozwiniętych pączków. Ale wnet krzykiem i strzałami w powietrze zmuszono nas do powrotu. Wróciłem na swoje miejsce pod frontową ścianę baraku. Minimalna dawka pożywienia dodała mi sił, uwierzyłem w to, że przeżyję wszystko, że muszę przeżyć.

15 kwietnia w godzinach popołudniowych przyszła wolność. W jednostajny huk armat wmięszwały się nagle odgłosy broni maszynowej i ryk silników broni pancernej. Drogą obok obozu jechały czołgi, auta pancerne, działa. Fala żelaza i stali z ogromnym szumem i łoskotem przesuwała się obok siedliska śmierci. Nie było widać żadnego wojska, ani jednego żołnierza. Bez jednego wystrzału, bez walki pancerna lawina sunęła dalej. Nikt się nie zatrzymał, nie wchodził na teren obozu.

Dopiero po jakimś czasie wjechał samochód, z którego oficer brytyjski zakomunikował przez głośniki w siedmiu językach (w tym polskim), że jesteśmy wolni. Ale ja tego nie widziałem, a jakby z bardzo daleka dobiegały do mnie tylko urywane słowa. Czy cieszyliśmy się? – ja chyba nie. Pamiętam, jak żołnierze brytyjscy w gumowych kombinezonach i maskach przyprowadzili kilku esesmanów z obsługi obozu. Kazali im poprznieść martwych i żywych jeszcze, leżących więźniów tak, by powstał wolny pas ziemi, aby dało się po nim przejść i przejechać. Gdy skończyli, po obu stronach tej drogi leżał wał ciał, który cały czas ruszał się i falował.

Ostrożnie, żeby nie najechać na leżących na skraju, wjechał samochód. Znajdowały się w nim kobiety w wojskowych mundurach, ale innego niż żołnierze koloru. Były to tak zwane kwakry. Z samochodu rzucały na wszystkie strony suchary, soki w tekturowych opakowaniach i pastylki. Wielu nie

miało na tyle siły by sięgnąć ręką, gdy to upadło trochę dalej, a nikt z Brytyjczyków nie podszedł żeby coś podać. Zdarzało się, że czasem zrobił to leżący obok kolega. Gdyby ktoś z żołnierzy nawet chciał tam się dostać, to nie było możliwe, musiałby deptać po leżących i żywych.

Nagle gdzieś z daleka dotarły do mnie słowa komunikatu: Odbędzie się dezynfekcja, należy zamknąć usta i oczy oraz zakryć nos.

Z samochodu rozpylaczem posypano nas jakimś białym proszkiem. Gruba warstwa białego proszku pokryła martwych i żywych na całym placu. Kto nie dosłyszał ogłoszenia lub go nie zrozumiał, wdychał do płuc ten nieznan nam proszek i „dezynfekował” się na zawsze – został otruty, był to bowiem proszek DDT. Według Józefa Kurpińskiego, przebywających w murowanych blokach ustawiono w szeregu i stojących obsypano ze wszystkich stron.

Nie pamiętam co się działo dalej. Nie wiem, jak długo leżałem nieprzytomny, bez żadnej pomocy. Gdy się ocknąłem, zobaczyłem jak pojawili się jacyś ludzie w białych fartuchach i zaczęli wyciągać z masy leżących tych, którzy przejawiali oznaki życia. Znoszono nas do uprzątniętego baraku. Stały tam zbite w pośpiechu ze świeżych, nieheblowanych desek prycze wyposażone w materace i wojskowe koce. Roznoszono witaminy, suchary i napoje, pojawili się lekarze.

Niestety, mało pamiętam z tych dramatycznych chwil, kiedy moje życie wisiało na włosku i to bardzo cienkim. Przypominam sobie jak przez mgłę, że leżałem na trzecim poziomie pryczy. Czulem jak ze mnie ucieka życie. Próbowałem walczyć ze śmiercią, nie chciałem umierać tuż po wyzwoleniu, gdy wreszcie byłem wolny. Za oknami zielenił się piękny brzozowy las pełen świergotu i śpiewu ptactwa. Było mi żal, że teraz, gdy wszystko przeżyłem, nastąpi koniec. Gasnącymi oczami widziałem zarys swego nosa. Palce u rąk były zupełnie szaro-sine. Próbowałem kłaść ręce na klatce piersiowej i szukać bicia serca. Przez wiele godzin prześladował mnie dziwny lęk przed zaśnięciem: nie zasnąć, nie zasnąć, sen to śmierć – ta myśl plątała się na krańcach mej świadomości. Wydawało mi się, że mój umysł pracuje prawidłowo. Zdawałem sobie sprawę z mojego beznadziejnego stanu i wywoływało to żal i lęk przed śmiercią.

Do baraku przychodzili lekarze. Badali wszystkich i udzielali pomocy tym, którzy rokowali nadzieję na przeżycie. Jeden z nich (chyba Niemiec lub Belg) załamał mnie całkowicie. Gdy podszedł i zbadał mnie, powiedział półgłosem: „Noch zehn Minuten des Lebens (jeszcze 10 minut życia)”. Nie dał mi żadnych lekarstw i odszedł. W baraku było niemiłosiernie duszno. Kto miał dosyć sił, wychodził, a raczej wypełzał przed barak na uprzątnięty z trupów plac.

Słowa lekarza wywarły na mnie ogromne wrażenie. Świadomość bliskiej śmierci w obliczu końca wojny i możliwości powrotu do kraju, do rodziny, była straszna. Ja jednak chciałem żyć. Ta podświadoma walka ze śmiercią nie da się opisać. Przyszedł w końcu kryzys, przesilenie. Ale ja już nie wiedziałem, co się dzieje, zaczynałem tracić świadomość. Dziwne obrazy stawały mi przed oczyma, z których tylko jeden pozostał mi w pamięci: czuję i widzę, jak niby daleko, a jednocześnie blisko, bo na moich nogach, stoją dwie postacie, dwaj mężczyźni w czarnych ubraniach i wysokich kapeluszach. Jeden niski i gruby, drugi wysoki i chudy. Idą powoli po moich nogach, są coraz bliżej i bliżej. Jest mi bardzo ciężko, coraz ciężej i ciężej, duszę się. To, co się później ze mną działo, znam tylko z opowiadań naoczego świadka, którego spotkałem w jednym z licznych obozów dla dipisów w Ahrbegen (względnie Arbergen) koło Hildesheimu. W Bergen-Belsen, po wyzwoleniu leżał obok mnie na tym samym poziomie sąsiedniej pryczy. Mówił, że nie tylko on, ale wszyscy leżący obok sądzili, że skonałem. Słyszeli, jak wydałem kilka jęków i zupełnie zamilkłem. Nikogo to nie zainteresowało.

Cóż znaczyła jeszcze jedna śmierć wobec masy trupów. Ponieważ była noc, nie zawiadomiono nikogo o tym zgonie i nie zabrano mnie z baraku. Normalnie rano wynoszono kilku lub kilkunastu zmarłych w nocy. Rano, gdy byli pewni, że jestem trupem i chcieli zawołać, żeby mnie zabrano, zwrócił ich uwagę mój widok i szloch. Podobno o własnych siłach usiadłem na pryczy i patrząc wokoło bez żadnego wyrazu i zainteresowania, szpatmatycznie szlochałem. Zdziwiony lekarz, który tak stanowczo wyrokował moją śmierć, polecił natychmiast zabrać mnie z baraku. Jak przez mgłę przypominam sobie pierwsze chwile dalszego życia. Spokój, zupełna cisza i nagle olbrzymi szum w uszach, jak gdyby tuż obok mnie uruchomiono jakieś potężne turbiny. Nie wiem kiedy i jak znalazłem się w wojskowym szpitalu w Celle, nie wiem także, jak długo tam byłem. Został mnie tam koniec wojny. Przez okno (chyba zakratowane) dochodziły do mnie radosne okrzyki. Różnojęzyczny tłum wiwatował, tańczył, szalał z radości. Wystrzeliwano kolorowe rakietki, strzelano na wiwat z broni ręcznej i armat. Ja byłem odizolowany od otoczenia, leżałem samotnie w separacie. Byłem okropnie słaby i obojętny na wszystko. Ciało, a raczej skóra, pokłuta była w wielu miejscach od igieł zastrzyków, zamiast włosów sterczały na głowie jak karłowate sosny pojedyncze, powykrzywiane włoski. Nic mnie nie cieszyło, nie interesowało. Powoli wracała pamięć, wolno budziłem się do życia, jednak nadal nie wiedziałem jak się tutaj znalazłem. Długo nie mogłem sobie przypomnieć imienia brata Tadeusza. Wiele fragmentów z życia przed 15 kwietnia i po tej dacie przypomina mi się jeszcze dzisiaj. Nie wiem czy to fakty, czy wytwory chorej wyobraźni. Większość tych zdarzeń znajduje potwierdzenie w dokumentach, filmach

i wspomnieniach spotykanych po wielu latach świadków. Utwierdza mnie to w przekonaniu, że była to tragiczna rzeczywistość.

Wielu lekarzy odwiedzało moją celę. Byli tam w wojskowych mundurach Anglicy, Szkoci, Polacy. Nie wiem, co mówili, nachylając się nade mną. Zadawali pytania, na które mimo bolesnego wysiłku nie umiałem odpowiedzieć. Udało mi się to dopiero przy ważeniu. Ważyłem wtedy 36 kilogramów. Zapytany zniemacka o nazwisko, odpowiedziałem prawidłowo. Mówił mi to lekarz Polak, gdy przenoszono mnie do wspólnej dużej sali. Nie wiem jak długo tam leżałem, może tydzień, może trzy tygodnie.

Pewnego dnia podczas wizytacji zakomunikowano nam, że gdy nasz stan będzie dobry, pojedziemy na dalsze leczenie do Szwecji. Kilku z nas myśląc o jak najszybszym powrocie do kraju, nie miało ochoty jechać i postanowiło uciec nocą ze szpitala. Między nimi znalazłem się i ja.

W nocy w wojskowej piżamie uciekłem ze szpitala wraz z trzema kolegami. Zabrałem jeszcze ze sobą koldrę, którą miałem długo po powrocie do kraju. Zrobiłem więc kolejne głupstwo w swoim życiu, a może to nie było głupstwo, któż może wiedzieć, jakie by były moje losy gdybym postąpił inaczej?

Unikając spotkania z kimkolwiek, szliśmy przed siebie bez konkretnego celu. Byliśmy bardzo słabi i często musieliśmy odpoczywać. Na resztę nocy zatrzymaliśmy się w szopie dla bydła, gdzie zakopaliśmy się po uszy w sianie czy słomie. To nas uratowało, bo gdy już zasypialiśmy, przysłała tam grupa niemieckich niedobitków z Kriegsmarine. Byli w cywilnych ubraniach, ale mieli dużo ręcznej broni. Gdyby nas odkryli, wystrzelaliby jak kaczki. Wiedzieliśmy, w jakim znaleźliśmy się niebezpieczeństwie. Tłumiąc oddech i kaszel doczekaliśmy do rana. Całe szczęście, że grupa ta złożona z 4 lub 5 byłych marynarzy odeszła jeszcze przed świtem i nie zauważyła, że nie jest jedynym lokatorem tej szopy. Niewyspani, zziębnięci i głodni, ruszyliśmy w dalszą drogę. Wydawało się nam, że pierwsza napotkana wioska jest całkowicie opuszczona. Przeszukaliśmy kilka kolejnych domów i nic nie znaleźliśmy do jedzenia. Byliśmy już kompletnie zrezygnowani i mieliśmy iść dalej, gdy natrafiliśmy na zupełnie zdemolowaną restaurację. Cały parter wyglądał jak jedno wielkie rumowisko, szyby powybijane, meble zniszczone. Nagle usłyszeliśmy na piętrze jakieś głosy i wesoły śmiech. Ostrożnie weszliśmy na górę i zobaczyliśmy kilka biesiadujących osób. Grupka byłych więźniów – jak nasza, tyle że liczniejsza. Było tam 3 Polaków, 2 Rosjan i jeden Jugosłowianin. Dobrze ubrani, uzbrojeni w rewolwery, wesoło się zabawiali. Na stole stało wiele opróżnionych butelek po winie, jeszcze kilka pełnych, oraz świeżo upieczony (a raczej opieczony) mały prosiak. Nie było już kawałka chleba, a z prosiaka zostały tylko kawałki słoniny.

Przywitali nas niezbyt życzliwie, wręcz wrogo. Wiedzieli, że będziemy chcieli jeść i trzeba się z nami podzielić, a nie bardzo było czym. Każdemu dano po kawałeczku prawie surowego mięsa, a raczej słoniny i butelkę wina i kazano nam się szybko wynosić. Dwa następne domy były pozamykane ze wszystkich stron, trzeci wydawał się nam zupełnie opuszczony. Był otwarty, weszliśmy do środka. Zastaliśmy panujący tam ład i porządek, dużo pootwieranych pokoi a w nich łóżka ze świeżą i czystą pościelą. To było to, czego nam było w tej chwili najbardziej potrzeba. Sądząc, że już jesteśmy całkowicie zdrowi, zjedliśmy otrzymaną słoninę i popili winem. Naiwni. Skutek był natychmiastowy – tak zwany durchfal zaczął się od nowa, przez kilka dni łało się z nas bez przerwy. Całe szczęście, że w każdym pokoju była łazienka.

W drugim dniu naszego pobytu okazało się, że wioska wcale nie jest pusta. W obawie przed zemstą wypuszczonych z obozów, mieszkańcy pochowali się, pozamykali wszystkie wejścia i starannie ukryli cały swój inwentarz. W godzinach przedpołudniowych odwiedziła nas stara kobieta, właścicielka naszego pensjonatu. Składając ręce jak do modlitwy i drżąc ze strachu prosiła, żeby nie zniszczyć wyposażenia pokoi i przypadkowo nie spalić domu. Gdzie się podziały nasze przyrzeczenia, że każdego Niemca, obojętnie mężczyznę czy kobietę, spalimy żywcem? Że będziemy go kroić, solić znęcać się i mordować, jak oni nas mordowali? Patrzyliśmy na staruchę zupełnie obojętnie, nie przyjaźnie, ale i bez nienawiści. Śmieszyla i bawiła nas jej skrucha i pokora. Kpiliśmy, że zebrała nie o litość nad sobą, ale nad swoim dobytkiem. Przypomniało mi się wtedy, jak podobna starucha kazała dzieciom rzucać grudkami i śnieżkami, gdy przechodziliśmy obok jej domu w miejscowości Neustad. Było to parę tygodni temu. Opowiedziałem jej o tym. Nie wierzyła lub nie chciała wierzyć. Kręciła głową i powtarzała kilka razy „Unmöglich, unmöglich”.

Pytaliśmy ją, gdzie się podziała niemiecka buta i pewność, że podbiją cały świat i wszystkich ludzi innej rasy uczynią swoimi niewolnikami. Co się stało z tymi nadludźmi, którzy teraz pozamykali się w swoich domach i boją się nawet pokazać? Kpiliśmy, ale nie zrobiliśmy jej żadnej krzywdy. Przyrzekliśmy, że nic nie zniszczymy, ale musi nam przynieść dużo jedzenia i picia. Przypadki grabieży, gwałtów i samosądów zdarzały się tylko w pobliżu wyzwolonych obozów i miało to miejsce bardzo krótko. Duży udział w tym mieli Niemcy dezenterzy i żołnierze ukrywający się przed niewolą i przedzierający się w swoje strony. Przebrani w cywilne ubrania udawali obcokrajowców pewni, że wszystkie ich ciemne sprawy przypisane będą Polakom i Rosjanom, wyzwolonym z obozów. Wcześniej, niż się spodziewaliśmy, starucha wróciła niosąc chleb, ser i mleko. Całe szczęście, że przyniosła również czajnik gorącej herbaty, bo mleka nikt by się nie odważył pić.

Noce spędzaliśmy przy zamkniętych od wewnątrz drzwiach nareszcie w wygodnych łóżkach i czystej pościeli, po tyłu spędzonych na pryzkach, na podłogach wagonów, nago na betonowych posadzkach oraz pobrudzonej odchodami brudnej ziemi. Najbardziej utkwiała mi w pamięci pierwsza spędzona tam noc. Była to rozkoszna noc, pogodna, ciepła noc czerwcowa. Pachniały wiosenne kwiaty i trawy łąk. Jaka szalona różnica w stosunku do ostatnich nocy spędzonych w Bergen-Belsen. Zdawałem sobie sprawę z tego i mimo dręczącego mnie nadal przygnębienia i apatii, cieszyłem się razem z innymi.

Już po kilku dniach od naszego przybycia wioska zaczęła powoli wracać do normalnego życia. Potajemnie przed obcymi wyprowadzano z różnych ukrytych pomieszczeń i wprowadzano do obór, chlewów i kurników żywy inwentarz. Do wiosennych prac na polach wyszli ludzie, ale tylko kobiety i dzieci. Mężczyźni nadal siedzieli w dobrze zamaskowanych kryjówkach. Ci z oddziałów Wehrmachtu ukrywali się razem z byłymi funkcjonariuszami gestapo, esesmanami i drżeli o swoje parszywe życie, jak szczury schwyte w potrzask. Ich rodziny nawet przed najbliższymi kryły ich obecność rozprowadając, że są w niewoli bądź zginęli, a nawet udając żalobę. Kiedyś mieszkańcy zebrali dla nas bieliznę i odzież. Stało się to wtedy, gdy starucha zauważyła, że mimo tyłu przeprowadzonych dezynfekcji znów pojawiły się u nas wszy. W obawie, żeby się nie rozprzestrzeniły, wymieniła nam pościel, dała nam do kąpieli jakiś płyn i spaliła starą odzież. Dostałem bardzo długie spodnie i wielką marynarkę, na jej rękawie pozostał ciemniejszy ślad po noszonej opasce. Albo to była opaska ze znanym nam hakenkrojcem, noszona przez faszystów lub, co też jest możliwe, z moją gwiazdą noszoną przez Żydów. Mimo nalegań i gróźb nie chciała powiedzieć, od kogo ma tę marynarkę. Muszę z przykrością przyznać, że przebywający tam jeszcze Polacy, wywiezieni na roboty przymusowe, nie darzyli nas wielką sympatią i unikali spotkań z nami. Nasz pobyt w tej wiosce nie trwał długo. Skargi ludności na obcych intruzów zostały uwzględnione przez władze okupacyjne i podobnie jak za okupacji niemieckiej zrobiono na nas łapankę. Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że żołnierze wyznaczeni do tego przedsięwzięcia zachowywali się bardzo przyzwoicie i cierpliwie. Wypędzani przez nich z domów, rozchodziliśmy się wiele razy i zabawa w chowanego rozpoczynała się od nowa. Przy tej okazji ubliżano niemiłosiernie niewinnym żołnierzom, zebranych z różnych stron świata i wcielonym do armii Zjednoczonego Królestwa. Tym razem były to jednostki szkockie. W końcu nawet nam samym ta zabawa się znudziła i skapitulowaliśmy. Załadowano nas na samochód i przewieziono do obozu dla dipisów Ovelganne III.

W środku sosnowego lasu stało kilkanaście baraków. W wielu pomieszczeniach brak było szyb, w zdemolowanych łazienkach nie było ciepłej wody, ale za to w pokojach było bardzo dużo pluskwów, które spadały w nocy z sufitu na leżących i cięły niemiłosiernie. Po paru minutach snu całe ciało było pogryzione, a na prześcieradłach, brudnych i podartych, było pełno czerwonych plam. Próbowaliśmy na różne sposoby walczyć z tym świństwem. Oblewaliśmy wszystko ropą, sypaliśmy proszek DDT. Wszystko na nic się zdało.

Wiele osób nie rozbierało się i nie kładło na noc, drzemało siedząc na drewnianej ławie. W pokojach umieszczono razem kobiety i mężczyzn, niezależnie czy łączyło ich pokrewieństwo. Dobierały się pary i co noc odbywały się orgie. Pokoje były duże i wszystko działo się na oczach współlokatorów. Nikt się z tym nie uczył.

Tuż obok naszych baraków, znajdowała się zbombardowana fabryka. Było tam dużo szczelnie zamykanych, różnej wielkości pojemników. Szybko znaleźli się tacy, którzy umieli to wykorzystać. Za kawę i papierosy z paczek UNRRA kupowali u miejscowych wieśniaków odpadki (keki) z buraków cukrowych i korzystając z gotowych urządzeń, pędzili wstrętny samogon, którego zapach czuć było na terenie całego obozu i daleko w okolicy. Wyżywienie było bardzo słabe, ale nie była to wina alianckiej administracji, lecz ludzi z kierownictwa i zaopatrzenia obozu, którzy okradali wszystkich, wyjmowali z paczek unrowskich najwartościowsze rzeczy oraz zabierali część produktów przeznaczonych dla kuchni. Ponieważ niemiecka ludność nie miała zbyt dużo żywności, łatwo udawało się to wymienić na różne cenne przedmioty. Robiono to tak dyskretnie, że wówczas nikt o tym nie wiedział. Ludzie ci, gdy opuszczali obozy koncentracyjne lub miejsca pracy przymusowej, nie mieli nic, a później, podczas powrotu do kraju, ich bagaże zajmowały prawie połowę wagonu. Ja wszystkie moje rzeczy mogłem zapakować w przysłowiową skarpetkę i nawet najbliżsi, porównując z tym lub innym, który wracał z walizami cennych przedmiotów, złotem i biżuterią, nie mogli się nadziwić i pytali, czemu nic nie przywiozłem. Ale ja wiedziałem o pochodzeniu tego wszystkiego: albo z okradania i oszukiwania swoich kolegów, albo z ordynarnego szabru.

Trudne warunki bytowe spowodowały, że zaczęły się tworzyć grupy rabunkowe, które nocą napadały na bliżej położone gospodarstwa i zabierały wszystko, co nadawało się do jedzenia. W obozie umieszczono ludzi różnych narodowości. W części włoskiej była duża umywalnia, można tam było zobaczyć wiele odpadków (głowy, rogi, ratki, skóry), pochodzących z uboju świń, cieląt, krów. Cały las pełen był zapachów dymu, pieczeni i zacieru na samogon. Nagminnym stało się tak zwane „kurobranie”. Mimo że miałem ochotę na taki nocny wypad po kury, to jednak się na to nie zdecydowałem. Zabieranie gospodarzom kur, choć byli to Niemcy, uważałem za hańbiące. Brzydziłem się każdą



kradzieżą. „Organizowania” chleba w obozie nie uważałem za kradzież, ponieważ nie odbywało się to kosztem kolegów.

W napadach na okoliczne gospodarstwa, zabieraniu nocą żywego inwentarza i uboju nawet zupełnie jeszcze młodych sztuk prym wiedli Cyganie, Hiszpanie i Włosi. Wokół ich baraków było najwięcej odpadków i ognisk, tam też zabawy były najbardziej głośnie i frywolne. Rosjanie, a zwłaszcza Jugosłowianie, robili to w mniejszym zakresie, cicho, potajemnie, nie przyznając się swoim rodakom. Po wielu skargach ludności i kolejnych rewizjach aresztowano wielu szabrowników. Wokół obozu wprowadzono warty, które miały w nocy nie wypuszczać nikogo. Była to jednak fikcja, kto chciał i kiedy chciał, wchodził. Coraz więcej ludzi opuszczało baraki i przenosiło się samowolnie do innych obozów. W końcu i ja postanowiłem opuścić Ovelganne III.

Zawędrowałem do Oldenburga. Warunki mieszkaniowe i bytowe były tu znacznie lepsze, mieszkaliśmy w dobrze utrzymanych, murowanych blokach po byłych koszarach angielskich. Większość pomieszczeń to były pokoje dwuosobowe, jedzenie było bardzo dobre. Po przybyciu otrzymałem tak zwaną kartę DP (di-pi) nr rejestracyjny GO 1532301. Był to wówczas jedyny dowód potwierdzający moją tożsamość, przydzielany tylko tym, którzy nie posiadali żadnego innego dokumentu. Nikt jednak tego nie sprawdzał, wydawano każdemu, kto się po nią zgłosił. Tylko my, byli obozowicze, nie mieliśmy żadnego dokumentu, a zgłaszali się po nie również ludzie wywiezieni na roboty przymusowe, choć każdy z nich na pewno musiał mieć kennkartę. Byli wśród nich i tacy, którzy zgłaszali się po dwie, a nawet kilka kart. Nie było to trudne, bo wydawano je jednocześnie w kilku okienkach. Znacznie później dowiedziałem się, po co to robili. Karty stanowiły bowiem podstawę do otrzymania paczek unrowskich, były także dokumentem, na podstawie którego zawierano śluby, a ksiądz na odwrotnej stronie fakt ten zaznaczał. Wielu nieuczciwych zawierało na podstawie posiadanych w zapasie kart nowe śluby w coraz to innych obozach.

Po kilkunastu dniach pobytu przewieziono nas do wojskowego obozu w Ahrbergen. Tam wstąpiłem do Polskiego Wojska na Zachodzie. Dziwne to było wojsko. Znaleźli się tam byli polscy jeńcy wojenni, warszawscy powstańcy i uczestnicy ruchu oporu, wywiezieni do obozów koncentracyjnych. Wydano nam książeczki wojskowe, mundury, bieliznę i od podoficera wzwyz, kartę do kasyna. Każdy właściciel karty mógł za darmo otrzymać drobne osobiste rzeczy, jak pastę i szczoteczkę do zębów, sznurówki do butów czy jedną parę skarpetek. Można tam było dobrze zjeść, a nawet wypić trzy kieliszki alkoholu.

Ledwie się przyzwyczaiłem do nowych warunków, przeniesiono mnie, tym razem do Wolfsburga. Umieszczono nas w dwóch murowanych blokach, obok odgradzonego od nas siatką dużego obozu dla cywilów. Tu znów panował inny porządek. Raz w tygodniu odbywały się zbiórki. Przy bramie stała warta, trzymał ją tylko ten, kto dobrowolnie się zgłosił. Na czas pełnienia służby przy bramie otrzymywał broń i dodatkowo paczkę papierosów, dlatego chętnych było dużo. Prawie każdy z nas posiadał, zdobytą sobie tylko znanym sposobem broń. Gdy ktoś z nas chciał wyjść poza teren koszar, to wychodził bez pytania, byle tylko wrócił na dzień zbiórki, bo od stanu na zbiórce zależał przydział żywności. Każdy, kto wyjeżdżał na dłużej, otrzymywał przepustkę od komendanta koszar. Jedzenie dostarczali nam ze swojej kuchni angielscy żołnierze, było bardzo smaczne i w dostatecznej ilości. Przy obiedzie można było zamówić picie na kolację: do wyboru czekoladę, kakao, kawę, herbatę, mleko z puszki lub ciemne piwo. Dostarczano tylko białe smaczne pieczywo, które szybko się nam znudziło, było dużo mięsa, serów, dżemów i ryb, brakowało za to jarzyn, a zwłaszcza ziemniaków. Trzy razy dziennie przywożono w kotłach gorące jedzenie. Kotły mieściły 6, 12 lub 24 porcje. Gdy tylko zabrakło jednej porcji, dostarczano następny najmniejszy kocioł, a w nim dalszych 6 porcji. Między jedną a drugą zbiórką liczba obecnych stale się zmniejszała i pozostawało dużo jedzenia. Korzystali z niego bardzo chętnie ludzie z cywilnego obozu, gdzie z żywnością było coraz gorzej.

Po kilku tygodniach przewieziono nas do opuszczonych przez jednostki gen. Maczka koszar w Sande koło Wilhelmshafen. Nie czułem się dobrze, siedząc prawie beczynnym, więc gdy dowiedziałem się, że w Goslar jest polskie gimnazjum, przeniosłem się tam. Po zameldowaniu się u komendanta obozu oprócz nowego munduru otrzymałem 110 marek okupacyjnych żołdu. Dowiedziałem się od niego, że żold należał mi się od chwili wstąpienia do Polskiego Wojska na Zachodzie, a więc od kilku miesięcy. Znów mnie ktoś oszukał. Biorąc pod uwagę, że takich jak ja było więcej i trwało to długo, ktoś przywłaszczył sobie sporą sumę pieniędzy.

Niestety, w gimnazjum była tylko druga klasa. Nie chcąc wszystkiego zapomnieć, rozpocząłem w niej naukę. Gdy komendant Hufca Harcerskiego „Chrobry”, podharcemistrz Ignaczak, zjawił się w koszarach i zakomunikował, że potrzebuje instruktorów terenoznawstwa, bez namysłu zgłosiłem się. W krótkim czasie złożyłem przyrzeczenie i wstąpiłem do ZHP. Zdobyłem stopień pioniera i zostałem drużynowym drużyny Moringen, brałem udział w międzynarodowym zlocie skautów w miejscowości Pepinghausen. Była to wioska w czasie wojny całkowicie zamieszkała przez robotników fabryki zbrojeniowej, a od roku 1947 odbywało się tam szkolenie szpiegów wysyłanych za żelazną kurtynę. Ale ja o tym nie wiedziałem i po powrocie do kraju we wszystkich życiorysach pisałem, że tam przebywałem, dlatego też posadzano mnie, że byłem szpiegiem. Dopiero chyba fakt, że wróciłem do kraju w połowie

roku 1946, przekonał przesłuchujących mnie funkcjonariuszy UB na Placu Wolności w Krakowie, że w tym szkoleniu nie mogłem brać udziału.

Coraz częściej słyszało się, że alianci ukrywają i starają się, żeby nie stała się żadna krzywda niemieckim zbrodniarzom. Szczególnie dotyczyło to tych, którzy byli przydani dla wojska: fachowców od nowych broni i specjalistów wywiadu oraz znających wiele ścisłych tajemnic. Jeżeli ktoś taki nie został schwytany, a nie udało mu się ukryć tożsamości, to w krótkim czasie był zwalniany i pod zmienionym nazwiskiem wywożony za ocean. Był to bowiem okres zaostrzenia się stosunków między zachodnimi aliantami, a Związkiem Sowieckim. Mimo zakończenia wojny ze strefy angielskiej, graniczącej z rosyjską, nie wycofano wielu jednostek wojskowych. Stały one wyposażone w dobrze zamaskowaną broń pancerną na pograniczu strefy okupacyjnej. W pobliżu tych jednostek coraz częściej dochodziło do bratania się alianckich żołnierzy z Niemcami, a zwłaszcza z Niemkami. Na ulicach, a nawet w kantynach, choć to oficjalnie było zabronione, pokazywali się żołnierze, a zwłaszcza oficerowie, w towarzystwie Niemek. Robili to otwarcie, bez żenady. A przecież wojna się nie tak dawno skończyła... Śmiertelni dotąd wrogowie, walczący ze sobą na śmierć i życie, zabijający się bez pardonu, bombardujący sobie nawzajem domy, szpitale, kościoły, już się bratają i kochają, jak gdyby nic nie było. Nie mogliśmy tego zrozumieć, ogarniała nas wściekłość. Często dochodziło na tym tle do awantur i bijatyk, przeważnie z Anglikami.

W takich wypadkach zawsze po naszej stronie stali Szkoci, Kanadyjczycy, a zwłaszcza Irlandczycy. Sam uczestniczyłem w takiej awanturze. Spacerował raz po ulicach Hanoweru bezręki kolega z dziewczyną (chyba z siostrą, która przyjechała z Francji) w solidnym futrze. Spotkali czule przytulonego do Niemki angielskiego żołnierza. Nagle Niemra zaczęła wołać: „moje futro, moje futro” i pokazywać na dziewczynę. Jej towarzysz pobiegł do spacerujących i bez słowa zaczął ściągać futro z dziewczyny. Wywiązała się bójka, ze wszystkich stron zbiegli się polscy i angielscy żołnierze. Na pomoc Polakom przybiegli Szkoci i Irlandczycy, pobito Anglików.

Przybyła żandarmeria wojskowa (MP) i polska żandarmeria (PMP) i aresztowano wszystkich biorących udział w bójce. Zawieziono nas do jednostki, której dowódcą był Szkot. Korpulentny, z sumiastym wąsem i w spódniczce wyglądał bardzo śmiesznie i dobroduszenie. Zatrzymano nas w zamkniętym pokoju. Wieczorem odwiedziło nas kilku żołnierzy. Byli wśród nich dwaj polskiego pochodzenia, którzy umieli parę słów po polsku. Poczęstowali nas wstrętną wódką (była to whisky) i jak się dało długo rozmawialiśmy. Na drugi dzień zaczęło się przesłuchanie. Gdy okazało się oczywiste, że Niemka kłamała, bo nie wiedziała jakiego koloru podszewkę ma futro, wszystko się wyjaśniło. Już dobrowolnie zostaliśmy tam jeszcze kilka dni. Wróciliśmy do koszar z bólem głowy, obdarowani papierosami i butelkami whisky.

Przez cały czas w wielu obozach dla dipisów rozpytywałem o swojego brata Tadeusza i pozostałych aresztowanych. Pytałem także w Związku Byłych Więźniów w Hanowerze, gdzie rejestrowano wszystkich więźniów przebywających na terenie angielskiej strefy okupacyjnej. Niestety, ani go nigdzie nie spotkałem, ani nie uzyskałem o nim żadnej wiadomości. Tym bardziej tęskniłem za krajem, za rodziną. Przykro nam było, gdy po Włochów, Francuzów i innych obywateli państw zachodnich przyjeżdżały autokary z flagami i orkiestrami. Ze smutkiem i zazdrością patrzyliśmy na odjeżdżające, szczęśliwe i rozbawione coraz to nowe grupy. Czy i po nas kiedyś tak przyjadą? – cisnęło się pytanie. Wiedzieliśmy jednak, że tak się nigdy nie stanie.

Coraz więcej Polaków wyjeżdżało do Szwecji, Kanady czy Australii. Czy wyjeżdżali do swoich krewnych lub znajomych, czy był to oficjalny werbunek, wiedzieli tylko nieliczni. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero wtedy, gdy ogłoszono, że zakończono zapisy na wyjazd. Dlaczego wcześniej nie ogłoszono, że są takie zapisy? Na to pytanie nikt nie umiał lub nie chciał odpowiedzieć. Był to kolejny przykład tego, jakie stosunki panowały w polskim środowisku. Niepłacenie żołdu (było w tej sprawie prowadzone dochodzenie przez angielskie służby), oszukiwanie na paczkach unrowskich i żywności i do tego jeszcze ukrywanie możliwości wyjazdu za granicę... Czy obawiali się, że gdy dużo chętnych się zgłosi, to dla nich i ich znajomych zabraknie miejsc? Czy kierowali się innymi względami?

Nareszcie otrzymałem pierwszy list z kraju. Wynikało z niego, że dobrze się tam nie dzieje. Między wierszami brat Edward dawał do zrozumienia, żebym nie jechał tam, gdzie rządzą „dajuty” (chodziło o Bieruta). Pomimo tego i szalonej propagandy, żeby nie wracać, zapisałem się na ogłoszony pierwszy wyjazd do kraju. Tych wszystkich, którzy się zgłosili, przewieziono do Wolfsburga, tuż nad granicę sowieckiej strefy okupacyjnej. Znalazłem się tam po raz drugi. Wydano nam specjalne karty, które upoważniały do wejścia do wagonu i wyjazdu. Z niecierpliwością czekaliśmy na podstawienie pociągu. Dzień lub dwa przed naszym wyjazdem przybył na teren cywilnego obozu furmanką chłop, rzekomo z Polski. Był zabiedzony i zarośnięty, a szkapina chuda i ledwie trzymająca się na nogach. Chłop składał ręce jak do modlitwy i opowiadał straszne rzeczy o tym, co się dzieje w kraju, mówił o aresztowaniach i wywóźce na Sybir wszystkich byłych akowców. Ze łzami w oczach opowiadał, że podczas ucieczki widział powieszonych na drzewach ludzi, że kościoły zostały zamienione na magazyny, a Polska jest już siedemnastą republiką sowiecką. Opowiadał, jak udało mu się cudem przekroczyć dwie granice,

pokazywał przy tym poranionego konia i przestrelony wóz. Przestraszyłem się na serio. Następnego dnia na stację kolejową podstawiono polskie towarowe wagony. Wszystkie były szczelnie pozamykane. Sądziliśmy, że nimi będziemy wracać do kraju. Ktoś zauważył, że siedzieli w nich dokładnie ukryci sowieccy żołnierze. W nocy otoczyli rosyjskie baraki i wszystkich, którzy tam byli, czy kto chciał czy nie, załadowano do tych wagonów. Drzwi zadrutowano i pod silną eskortą żołnierzy wywieziono w stronę granicy. Było to dla nas olbrzymim zaskoczeniem. Jak mogły się na taki czyn zgodzić okupacyjne władze angielskie – mówiliśmy z oburzeniem. Ale znów własny interes był ważniejszy, niż los tych kilkuset umęczonych przez Niemców ludzi. Po tym, co się stało, uwierzyłem we wszystko, co opowiadał chłop i zrezygnowałem z wyjazdu. Takich jak ja, znalazło się więcej. Za paczkę UNRRA sprzedałem mój wstęp do pociągu repatriacyjnego. Tak więc przedłużyłem o kilka miesięcy swój pobyt na obczyźnie.

Stopniowo tęsknota za krajem zrobiła się znów nie do wytrzymania. Dotyczyło to najbardziej nas, wczesniej przygotowanych na wyjazd. Przed każdym blokiem układaliśmy z różnokolorowej cegły białego orla na czerwonym tle. Z żalem i goryczą śpiewaliśmy słowa piosenki: „Wrócimy tam, wrócimy tam, dokąd serce tak tęskni i marzy”. Jak ciężko było żyć z tą tęsknotą, z powracającym pytaniem: wracać, czy nie wracać? Z jednej strony tęsknota za krajem, za bliskimi, z drugiej obawa o to, co nas tam czeka. W wojskowych obozach żyło mi się dobrze, ale nie mogłem znieść bezczynności. Raz w tygodniu – i to nie zawsze – odbywające się zbiórki, to dla mnie za mało. Nie było tam ZHP, nie było żadnej szkoły, do której mógłbym uczęszczać, z wyjątkiem powszechnej. Przekonałem się ostatecznie, że nie mam żadnych szans wyjazdu do innych niż Polska krajów. W czerwcu 1946 roku otrzymałem Ust od brata Józka. Pisał, że nie wolno marnować bezczynnie młodych lat, trzeba wracać, kończyć naukę w szkole średniej i rozpocząć studia na wyższej uczelni, deklarował, że zapewni mi odpowiednie warunki. Pisał też, że zgłosili się do niego dwaj ludzie, rzekomi repatrianci i opowiadali, że mnie i brata Tadka widzieli w angielskiej strefie okupacyjnej tydzień temu. Mówili, że przyjechali specjalnie ze Szczecina, żeby przekazać od nas wiadomość, zażądali też zwrotu poniesionych kosztów. Uradowany dobrą wiadomością brat dał im sporą sumę pieniędzy. Dziwił się, czemu brat Tadek nie pisze. Byli to dobrze zorientowani oszuści, którzy znali wiele zdarzeń z mojego życia. Nie wiem tylko, jakim sposobem je poznali i jak zdobyli adres brata Józka.

Jak mi się zdawało fakt, że ani jego, który był oficerem AK, ani brata Edka, też akowca, nikt nie aresztował, przemawiał za powrotem. Może nie jest aż tak źle, jak opowiadał chłop – pomyślałem – i myśl o powrocie zaprzętała mój umysł i serce. Za kilka dni przyjechał z Polski oficer łącznikowy. Agitował do powrotu. Zaklinał się, że to, co nam chłop naopowiadał, jest wierutnym kłamstwem. Dziwił się, jak mogliśmy uwierzyć w to, że furmanką udało mu się przejechać przez dwie granice, w tym szczelnie zamkniętą między strefami. Mówił, że on sam był w AK, nic go złego nie spotkało, a nawet mógł wyjechać do angielskiej strefy okupacyjnej. Teraz wiem, że kłamała jedna i druga strona, kłamał chłop i kłamał oficer łącznikowy. Ostatecznie podjąłem decyzję. Postanowiłem wracać i zgłosiłem się na najbliższy transport, który odchodził do kraju. 12 lipca 1946 roku podstawiono towarowe wagony z Polski. Niektórych raził niestaranie namalowany na ścianach wagonów biały orzeł bez korony. Ublizając godłu, nazywali go wroną. Mnie cieszył jego widok i nie miało to żadnego znaczenia, że był bez korony. Lękając się o to, co nas może spotkać w kraju, wchodziliśmy bardzo poważni do wagonów. Jakże inny był to widok niż ten, gdy rozśpiewani wracali do swoich krajów obywatele zachodnich państw. Brytyjscy żołnierze załadowali nas bardzo grzecznie, zapewnili nam jedzenie i picie na cztery dni i konwojowali przez całą rosyjską strefę aż do samej granicy strefy. 16 lipca 1946 roku stanąłem na wolnej polskiej ziemi, za którą tak tęskniłem i tak wiele wycierpiałem. Czy wolnej?

Przez całe swoje życie miałem wielkiego pecha, a jednocześnie szalone, wprost niewiarygodne szczęście. Największym moim pechem było to, że znalazłem się wśród dziewięciu aresztowanych i wywiezionych do obozów koncentracyjnych. Że w Gross-Rosen, dłużej niż inni, przebywałem na bloku 19, bloku śmierci. Że podczas ewakuacji do Bergen-Belsen znajdowałem się w przedostatnim wagonie, który nie był otwierany przez 7 dni i zginęło w nim najwięcej więźniów z całego transportu. Że po przybyciu do obozu zostałem umieszczony na pustym placu, odgrodzonym od murowanych bloków, gdzie była woda i dach nad głową.

Moim największym szczęściem było to, że w najbardziej krytycznych momentach, gdy ważyły się moje losy, zdarzało się zawsze coś, co radykalnie zmieniało moją sytuację i pozwalało mi przetrwać najtrudniejsze chwile. Moim szczęściem jest to, że to wszystko przeżyłem, że żyję.

Koniec.

Być może teraz, po opublikowaniu tych wspomnień, znajdą się jeszcze świadkowie tamtych dni.

(1961-1984)